

PAPERÓ

PATCHWORK

Zinn



Piszący są W PORZĄDKU

Kinga Adamska - studentka polonistyki; łapaczka ulotności, oddalona od masy, zatopiona w zieleni. Wiersze są jej fotografiami, fotografie są jej poezją i gdyby nie jej oczy, wiele myśli zostałooby niewypowiedzianych przez niezdarne usta.

Bożena Chrostowska - lubi szukać wiatru w polu i włączę jako stan umysłu.

Karol Fryta - dziennikarz i marketingowiec. Gdy budżet pozwala, lubi podróżować. Debiutował w „Portrecie”.

Kasia Guzewicz - urodzona w 1984 roku. Bibliotekarka, która stara się więcej czytać niż pisać. Należy do Otwartych Klatek. W domu ma suczkę i kotkę.

Dariusz Górkiewicz - ultramaratończyk, zakochany w Meksyku i kulturach prekolumbijskich, nie purysta jazzowy i nie purysta metalowy. W wolnych chwilach zajmuje się terapią zajęciową poprzez muzykę i teatr.

Katarzyna Kokot-Góra - ur. 1981, olsztynianka z pochodzenia, obywatelka świata z doświadczenia. Przez ostatni rok mieszkała we Francji i odbywała staż na uniwersytecie w Genewie. W 2017 roku zadebiutowała na łamach czasopisma „Borussia”. Obecnie pracuje jako lektor języka angielskiego oraz kontynuuje studia doktoranckie z zakresu językoznawstwa na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim.

Kacper Kozłowski - urodził się w 1999 roku. Uczeń I Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Olsztynie, tegoroczny maturzysta. Interesuje się historią, zwłaszcza tą regionalną i teologią. Hobbystycznie pisze scenariusze. Aktor-amator związany z grupą teatralną Faux pas, działającą przy I LO. Opowiadanie „Kortau” wygrało ubiegłoroczną edycję konkursu literackiego „Opowieści znad Łyny”.

Joanna Ławicka - wierszokleta-amator od wczesnych lat młodzieńczych. Autorka tekstów piosenek poetyckich, wielokrotnie nagradzanych w konkursach poezji śpiewanej. Entuzjastka zabawy słowem, uprawiająca radosną twórczość w najtrudniejszych momentach życia. Zawodowo pedagog. Prywatnie - człowiek.

Michał Małyś - człowiek z Mysłak. Slamer i najzdolniejszy olsztyński poeta młodego pokolenia. Publikował m.in. w „Lampie”, „Ha!arcie”, „Wakacie”, „Inter-” czy „2Miesięczniku”.

Wojtek Matera - syn Kolejarki i Kolejjarza, brat siostry, mąż żony. Ojciec kilkorga dzieci. Mówi o sobie: „JeDNA Miłość! Wojtek - konstruktor Iskrownika”. W poszukiwaniu elementów przemierza w radości różne krainy. Różne też spotyka emocje. Wszystkie notuje - dla obdziałania. W tym ma rzecz!

Marta Parafińczuk - miłośniczka podróży, Zatorzanka z wyboru.

Dackard Prot - pisze do szuflady od 1998 roku. W latach 1996-1998 publikował tłumaczenia artykułów z National Geographic w Expresie Bydgoskim. Obecnie zajmuje się komunikacją z komputerami w językach logicznych wysokiego poziomu na stanowisku robaka komputerowego lub tak zwanego nerda.

Łukasz Staniszewski - urodził się w Olsztynie 42 lata temu (szkoda, że nie 24...). Jest szczęśliwym mężem Karoliny i tatą Kacpra. Zawodowo całe życie związany jest z Radiem, ostatnio z Polskim Radiem Olsztyn. Jest autorem kilku słuchowisk i reportaży. Aby stworzyć jeden z nich, dał się nawet zamknąć w więzieniu. Czymś odrębnym i coraz ważniejszym stało się dla niego słowo pisane. Najpierw był zbiór opowiadań warmińskich „Małe Grozy” - docenione w Polsce, przyniosły mu nagrody literackie w Lesznie, Kędzierzynie albo Koźlu (nie jest pewien, bo było ciemno) i w Parczewie. Potem zaś pojawiły się teksty dramatyczne. Jego sztuka „Ołowiany ptaszek” w listopadzie 2017 roku zadebiutowała na deskach Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie, a w styczniu 2018 r. była czytana w Elblągu, w Teatrze im. Aleksandra Sewruka.

Monika Stępień - poetka-graficzka (nawet tego numeru!), szuka sensów i bezsensów, jako managerka kultury, pedagog i animatorka - wspiera i organizuje przestrzeń kulturową, rozwija umiejętności i talenty społeczności, a także popularyzuje aktywności związane z literaturą oraz rozbudzeniem potencjału twórczego. Naukowo na Uniwersytecie, współzałożycielka czasopisma literacko-kulturalnego Embrion, zwyciężczyni konkursów literackich, publikowała w wielu czasopismach. Prywatnie: Petarda. Zawodowo: Zimny ogień.

Ewelina Zdancewicz-Pękala - z wykształcenia i pasji dziennikarka. Swoje teksty publikowała m.in. w „VariArcie” i „Gazecie Olsztyńskiej”. Od 2016 r. prowadzi spotkania autorskie.

Olga Żmijewska - Europejka, idzbarszczanka, kulturoznawczyni, tłumaczka przysięgła języka niemieckiego, kilku innych języków, a także kultur miejskiej i wiejskiej, polskiej i niemieckiej oraz wysokiej i popularnej. Żyje w szpagacie pomiędzy kontrastami. Kocha takie życie!

Szymon Żyliński - ur. 1980, debiutował w Borussi opowiadaniem „Kukułka”. Na początku XXI w. współtworzył olsztyńskie pismo literackie „Zoopa”. Lubi jeździć po świecie. Prowadzi vloga, do którego subskrypcji zaprasza <https://www.youtube.com/c/SzymonZylinski>

Monika Stępień

Pokora z promocji

Ziemia jako siedziba ludzi, którzy mogą wszystko, jeśli tylko chcą, przepełniła się ilością nieznanych dotąd talentów, nowatorskich pomysłów i opłotła siecią znajomości. I, o ile talenty i pomysły sprawiają, że serce rośnie, że ludzie oddają się swoim miłościom, pasjom, że pozwalają wybuchać swoim dłoniom w szale tworzenia, a oczom nasycać pięknem i dobrem, o tyle znajomości systematycznie koślawią się jak kręgi w kręgosłupie i stają elastyczne, nabywając umiejętność powiewania w stronę rozdziawionych ust, gotowych wysysać z nich to, co najlepsze lub karmić ze sztucznie przyjaznych dzióbków.

Kultura pęka w szwach. To pewne. Liczba festiwali, akcji społecznych, wystaw, czytań, sztuk czy widowisk muzycznych wypełnia intensywnie każdy najlokalniejszy z rynków. Słowo rynek nie jest tu przypadkowe - handel talent-za-talent i potrafię-za-pokażę kwitnie. Cyfryzacja, dostęp do globalnej wiedzy czy rozwój komunikacji pozwalają twórcom nie tylko na zaprezentowanie swojej twórczości globalnemu odbiorcy, ale także oferują niekończącą się studnię inspiracji, w której łatwo utonąć. Pół biedy, o ile widać jeszcze znad tafli wody nos - wtedy niejednokrotnie i artysta spokojny, bo swój czubek widzi i publika wie, że to jeszcze nie koniec (choć tylko koniec wystaje znad wody).

Łatwością jest zatem promowanie siebie, swoich wytworów, jak i zmaterializowanie ich w postaci płyty, książki, płótna czy tworzenie kółka wzajemnej adoracji. Cenię sobie szalenie ludzi, którzy potrafią nierzadko opasły skrawek swojego czasu poświęcić na oddanie się arte. Jeszcze bardziej cenię inicjatywy, które zrzeszają małe i duże społeczności na rzecz wspólnego tworzenia, obcowania z pięknem, uobecniania pamięci dla przetrwania pewnych idei, spraw. To, co sprawia, że serce parcieje mi równie mocno, jak mimika, to wyjadanie sobie z dzióbków, sztuczna skromność, dystans czy ironia na pokaz - pokora z promocji.

Słowa „cnota moralna” brzmią dziś trochę jak hipsterski napis czcionką z tumblr na tle skandynawskiego lasu. Cnotę moralną prawdopodobnie w wielu sytuacjach tylko w takim lesie można by znaleźć. Jest nas dużo. To nie budzi wątpliwości. I chcemy więcej niż napis na murze „Tu byłem!”. Chcemy dzwonięcia w uszach, dochodzącego z najnowszego smartphone'a, dzwonięcia na mszę dziękczynną za nasz talent, za dłonie od samego Boga złote tak bardzo, że sześciocyfrowe kwoty wyglądają przy nich blado. Chcemy słyszeć, jak zebrane na krzesłach pod sceną Bociany klekoczą dla nas, chcemy słyszeć „Dzień dobry!” i „Widziałeś, kto to!?”. Chcemy. I w tym tłumie ludzi chodzących po okrągłej Ziemi jestem w stanie to pragnienie zrozumieć. Tylko nie mogę bądź wzbraniam się, zaakceptować.

Zastanawiam się, czy w konsumpcyjnym świecie pędzącym do Endomondo bycie pokornym może znów stać modne? Oczekiwane? Mile widziane? **Każdy talent i każda umiejętność wymagają czasu. To niezbędny pierwiastek w procesie tworzenia wysokiej jakości. Oczywiście i papier wszystko przyjmie i publika wiele zniesie - tylko, czy to jeszcze jest sztuka? Nie każda przecież książka to literatura. Nie każdy twór to utwór. Czasem to potwór.**

Talenty stały się pospieszne, lubiące stawać w kółku, nieliczące z merytoryczną krytyką i tym, czy mają w sobie prawdę i sens. Twórczość to olejki pozwalające namaszczać własne ego, zaspokajające potrzeby poklasku, wyciszające zazdrości wobec innych. Zanika zdrowa ambicja, stymulująca do autorozwoju, sięgania wyżej po coś, co sprawia, że staję się lepszym, mądrzejszym człowiekiem.

Talent i twórczość nie potrzebują dziś pokory.

Ona przeszkadza. Hamuje ego.

Stałem tak przez chwilę nieruchomo pośród ciemności, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Musiałem teraz poszukać źródła jakiegoś światła, zacząłem ostrożnie krążyć, starannie sprawdzając zimne przestrzenie kotłowni. Nagle stało się coś, czego do dzisiaj nie jestem w stanie sobie wytłumaczyć. Stęchłe powietrze wypełnił ostry zapach siarki, ktoś zgasił ciemność i zapanował mrok. Zrobiło się niewyobrażalnie ciasno, miałem wrażenie, że ściany wystąpiły z fundamentów i zaczęły zbliżać się do siebie, ściskając mnie. Obezładniony brakiem światła, zacząłem kręcić się wkoło, nie wierząc w to, co widzę. Rury nad moją głową jakby ożyły i zaczęły się wić. Od tego wicia cały strop zdawał się falować, a na ściany starego pieca wypełzały leniwe żelazne macki. Czułem się jak w jaskini wielkiego głowonoga, gdzieś na dnie ciemnego oceanu. W głowie usłyszałem głośny szum, miarowe kapanie wody zamieniło się w przeraźliwe dudnienie. Macki sięgnęły po mnie. Dudnienie. Rzuciłem się w kąt. Ruchy miałem ociężałe. Dudnienie. Chciałem rzucić się biegiem naprzód, ale nie mogłem. Coś mnie trzymało, wciągało w ten kąt. Dudnienie. Macki zaciskały się wokół mojego brzucha. Chciałem z całych sił wykrzyknąć: Ratunku! Ale nie byłem w stanie. Gdy tylko otwierałem usta, słowa grzęzły mi w gardle, a siarka wdzierając się do trzewi, szczypiąc okrutnie. Krzyczałem w myślach, bo dławiłem się ciemnością. Dudnienie. W końcu wyrwałem się z żelaznego ucisku i potykając się o właz w podłodze, upadłem na jakieś drewniane skrzynki. Dudnienie. Pod ręką poczułem coś metalowego, oblepionego jakąś mazią. Przyłożyłem palec do nosa. Tak! To naftalina! Lampa naftowa! Szybko sięgnąłem do kieszeni spodni. Dudnienie. Wtem poczułem ucisk na mojej nodze. Macki! Szybko! Wyczułem małe pudełeczko. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem, jak to dobrze, że palę. Draśnięcie. Syk. Od razu wszystko się uspokoiło. Ściany były na swoim miejscu, rury wisiały nieruchomo. Woda cicho kapiała, a zapach siarki unosił się już tylko z mojej zapalniczki. Pomyślałem, co do czorta! Straszy tu?! Po wojnie w wielu miejscach straszyło. Przyłożyłem płomyk do lampy, którą postawiłem na jednej ze skrzynek, a na drugiej usiadłem. Zacząłem regulować pokrętką jasność. Nagle usłyszałem dźwięk, jakby ktoś uderzał metalowym prętem po rurach. Kręciłem dalej, robiło się coraz jaśniej, dziwny dźwięk nie ustawał. Nagle zniknął, gdy światło wypełniło całą kotłownię. Okazało się, że nie jestem w niej sam. Obok mnie w blasku lampki stała dziwna postać – cała czarna, wysokiej postury, o głowę wyższa ode mnie. Jej twarz kompletnie bez wyrazu, tak nieruchoma, tak nieżywa, wpatrywała się w pustkę, którą chyba przysłaniałem swoją osobą. Usta miała rozdziawione w potwornym grymasie i bólu, a z gardła zmory wydobywała się tylko cisza. W całej tej kształtnej, czarnej masie uderzały mnie śnieżnobiałe oczy zjawy, błyszczące jak oczy wilka, ale podobnie jak twarz bez wyrazu. Oczy nie miały źrenic, były to puste białka w oczodołach. Ich spojrzenie nic mi nie mówiło. Nie wiedziałem, czy upiór patrzy na mnie z nienawiścią, wrogością czy z radością. Nie mogłem określić intencji i zamiarów tego kłobuka czy anioła. To było najgorsze. I jeszcze ta cisza! Tak niejednoznaczna po stronie upióra! Była jego aurą! Czułem, że nie wytrzymam już żadnej następnej sekundy tego nic nie znaczącego spojrzenia i niejednoznacznej ciszy. Potrzebowałem jasności. Musiałem przerwać jak najszybciej ten stan niewiedzy: Diabeł? - wykrztusiłem.

Duchowi jakby zaczęła drzeć warga, ale twarz ciągle pozostawała ta sama, wbita gdzieś w pustkę. Z czarnych popalonych ust dobiegł mnie starchy, zmęczony głos: Diabeł teraz paraduje w czerwieni, nie w czerni. Chcesz wziąć na siebie brzemień tego miejsca?

- Nie, nie chcę żadnego brzemienia - odpowiedziałem pośpiesznie.

- To wyjdź stąd - jeszcze szybciej odrzekł upiór. - Mam tu naprawić piec.

- Jak to?! Jesteś nowym palaczem?! - jego twarz skierowała się na mnie.

- Palacz kotłów wysokoprężnych i maszynista Joseph. - Nareszcie! - jęknął z ulgą. Na ciebie czekałem, ja pracowałem tu w czasie wojny. Znam dobrze to miejsce - wyjaśnił duch starego palacza.

- Te macki to pańska sprawa?

- Nie, nie, nie. To diabeł w czerwieni. On boi się prawdy, kiedy pojawiłem się ja, macki znikły, bo znam prawdę o tym miejscu. Ja wiem, ja widziałem - mówił to dziwnie spokojnie. - Jeśli chcesz tu pracować, musisz przyjąć brzemień.

- Jakie brzemień?

- Brzemień prawdy! Prawdy o Zakładzie dla Obłąkanych Kortau! - gdy to wykrzykiwał, jego białka prawie wyszły z oczodołów. Zaczął opowiadać historię tego miejsca i jednocześnie swoją. Wreszcie miałem poznać wyjaśnienie tych wszystkich niewiarygodnych zdarzeń, jakich doświadczyłem od momentu wejścia do kortowskiej kotłowni. Jasny blask prawdy miał mi rozjaśnić całą ciemność, choć jak się później okazało, była to prawda bardzo mroczna.



„Styczeń tego roku był wyjątkowo mroźny, miałem dużo pracy, prawie nie wychodziłem z kotłowni. Ogrzać tak wielki kompleks, najnowocześniejszy w całej Rzeszy, to nie lada wyzwanie. Dym buchał z tego komina jak z jakiegoś parowozu - ręka starego palacza leniwie powędrowała w górę. Miał on nas zawieźć w lepszą przyszłość. Bez starości, bez cierpienia, bez trudów i zbędnych kosztów. Jego pasażerami było prawie ośmiuset pensjonariuszy- starcy, obłąkani, przeciwnicy polityczni. Doktor Kurt Hauptmann pełnił rolę maszynisty tego parowozu. Zawsze wierny rozkładowi jazdy z Berlina. Dobry, pruski formalista. W swoim zakładzie, zagubionym gdzieś w leśnych ostępach wschodniopruskiej prowincji, mógł w malowniczej scenerii i przy dźwiękach natury nadzorować procedurę „godnej śmierci”. Eksperymentować na „krzyżkach”, bo w papierach ci ludzie już nie żyli. Doktor Hauptmann z natury był człowiekiem praktycznym, co nie przeszkadzało mu przechadzać się po korytarzach szpitala w czarnym mundurze SS i wciśniętym nań białym kitlu. Był też w końcu elegantem. Jednak w styczniu, kiedy słychać było już „katusze”, a porządek dni wyznaczały regularne ostrzały armatnie i bombardowania, Hauptmann zapodział gdzieś swój czarny mundur. Ot tak, po prostu, stał się lekarzem, takim najwykleszym. Do Kortowa ciągle dowożono nowych rannych z frontu wschodniego, więc zwykli lekarze byli bardzo potrzebni. Lazaret wojenny został wydzielony z jednego z pawilonów dla mężczyzn. Wcześniej, zanim jeszcze dyrektor Hauptmann zrzucił mundur, zadbał o wolne łóżka dla niemieckich żołnierzy. 100 zwolnionych miejsc, 100 pensjonariuszy wysłanych do Euthanasienkommando Lange w Działdowie”.

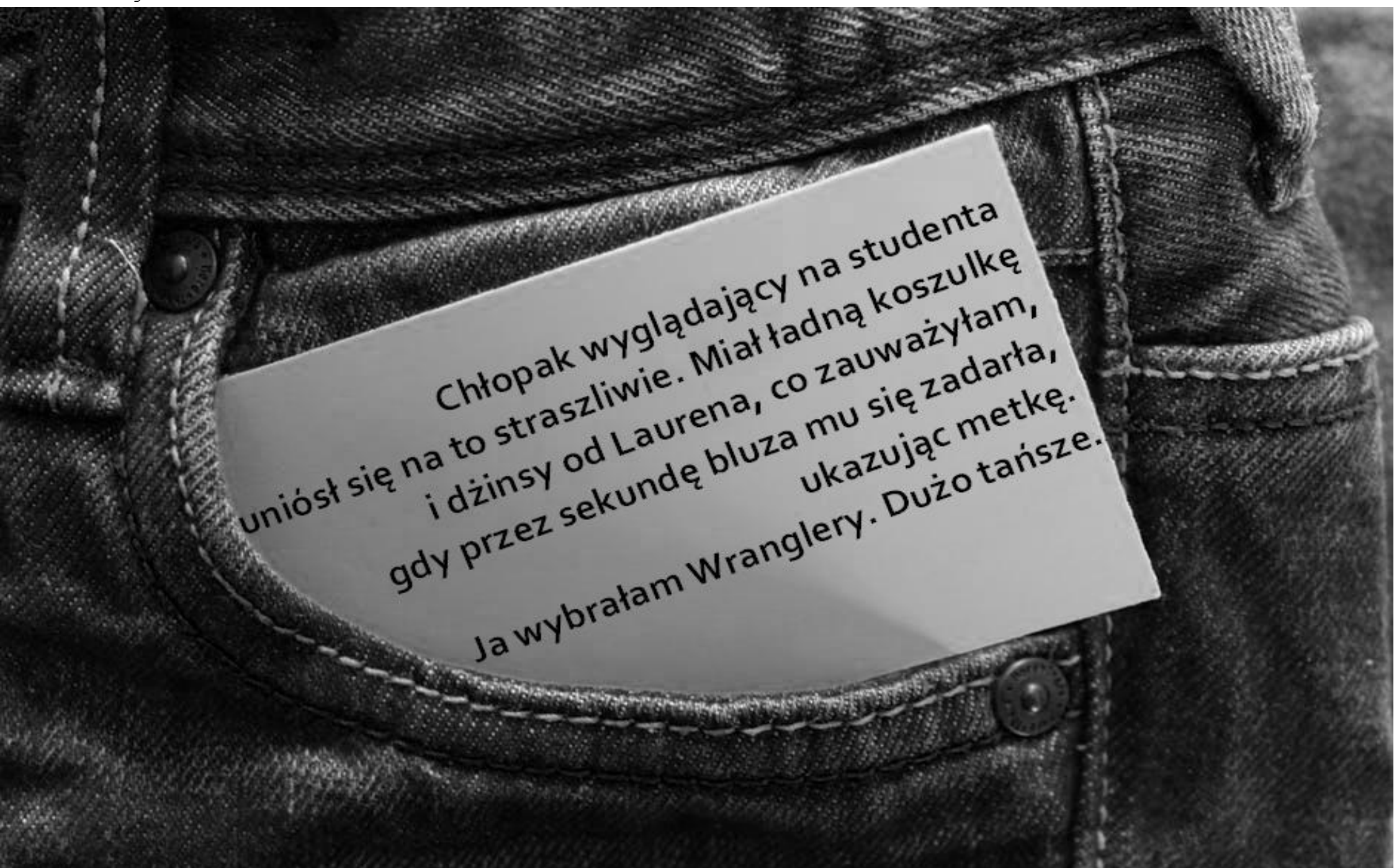
Po tych słowach starego palacza moja twarz przybrała kamienny wyraz, a spojrzenie rzuciło się gdzieś w ciemną pustkę. Wstałem. Trzęsąc się i chwiejąc podszedłem do pieca i zacząłem przy nim mimowolnie, wręcz machinalnie grzebać, teraz już wiedziałem, że uruchamiam kocioł w dawnej, niemieckiej fabryce śmierci, nazywanej szpitalem. Upiór kontynuował swoją opowieść: „Późnym wieczorem, kiedy mogłem trochę zwolnić z paleniem w piecu, postanowiłem przejść się na główny plac przed budynek administracji, żeby zobaczyć, jak idzie ewakuacja i czy ewentualnie nie potrzeba tam pomocy. Szedłem, grzęznąc prawie po pas w zaspach śnieżnych. Siarczysty mróz paraliżował moje ciało, a dodatkowo silny wschodni wiatr potęgował uczucie zimna. Jednak niósł on ze sobą coś więcej, każdy jego powiew przynosił huk armat i eksplodujących bomb, brutalnie przerywających nocną ciszę. Na plecach czułem zimny oddech przeznaczenia. Mantel, który miałem na sobie, nie chronił mnie zupełnie. Mróz wdzierał się we wszystkie zakamarki mojego ciała. Przystanąłem, popatrzyłem w górę. Ciemne, bezgwiazdne niebo. Rozświetlały je tylko wylatujące w górę i wybuchające jak fajerwerki, pociski. A tam, gdzieś na wschodnim krańcu nieba, na tle łun, jaśniała tylko jedna gwiazda. Czerwona. Wszedłem na nieco odśnieżony przeze mnie plac przed budynkiem administracji i o dziwo nie zaobserwowałem żadnego ruchu. Czyżby wszyscy już się ewakuowali? Na odpowiedź nie musiałem długo czekać. Przez sieć megafonów rozciągniętych w Kortowie usłyszałem taki oto komunikat: „Mieszkańcy miasta Allenstein, mówi nadburmistrz Fritz Schiedat. Zachowajcie spokój. Niemiecka armia broni wrót Prus Wschodnich. Nigdy nie skapitulujemy!”

Nadburmistrz nie zdążył dokończyć, kiedy nastąpił ogromny huk. Upadłem z przerażenia w śnieg, ziemia zadrżała, a potem trzask tłuczonego szkła i rumor głucho walących się kamieni dobiegł do moich uszu. Czuć było ogień i dym. Wstałem lekko ogłuszony, jednak nie na tyle, żeby nie usłyszeć silników oddalających się myśliwców. Zbombardowały jakiś budynek w pobliżu. Zegar na wieżycze kaplicy bił dziesiątą.



Tak się ładnie czerwieni - fragment

Był upalny lipiec. To nie był dobry dzień. Ludzie chodzili poddenerwowani. Długo próbowałam tłumaczyć to sobie wysokimi temperaturami, jednak nie jestem z kamienia, więc kilka razy warknęliśmy na siebie. Bo komputer chodził za wolno albo dlatego, że dyżurujący magazynier w roztrągnięciu przyniósł drugi kwartał 1985 roku, popularnego dziennika regionalnego, zwanego „Podpałkiem Warmińskim”, a ja w podobnym roztrągnięciu zaniósłam to delikwentowi do stolika.



- Co za różnica, podobne chujostwo bez kręgosłupa od lat pięćdziesiątych po dziś dzień. Próbujące lizać dupę wszystkim wkoło, a efekt jest taki, że srają na to wszyscy i z prawa i z lewa. A z prawa chyba z największą mocą, co jest smutne po wielokroć, bo tym z prawa mocniej próbuje lizać dupę. Tak mi się powiedziało.

- Tak. Ja to wiem, pani to wie i milion ludzi to wie. Ale mi chodzi tylko o przypisy do pracy, więc niech pani łaskawie to zamieni. Bo za dwadzieścia minut tramwaj mi spierdoli i będę czekał pod Wysoką Bramą czternaście minut na kolejny - odparł rezolutnie delikwent, pukając w zegarek Doxa Shark.

Prawie uśmiechnęłam się z uznaniem i posłusznie poszłam po trzeci kwartał roku. Lubię celne riposty nawet jeśli walą we mnie. Bardziej lub mniej skrycie podziwiam ludzi, którzy potrafią mnie spacyfikować. I lubię ładne zegarki. Swoją drogą za moich młodzieńczych czasów, za pięć tysięcy, czyli wartość tego gówienka na srebrnym pasku, miałabym trzy miesiące życia, tonę żarcia z dyskontu, morze wódki w klubie Zew i zakupy w chińczyku. Straszne jedzenie, straszne ubieranie i straszna rozrywka. A może nigdy nie było żadnych „moich czasów”? Zabierzcie nam wódkę i tanie wino, a okaże się, że odskoczmy czym prędzej od siebie i pójdziemy do domu. Bo jesteśmy sobie obcy. Nie znoszę podlizywactwa i rozmemłania. Ani ludzi, którzy się nie kąpia. Śmierdzenie-dowcipkowanie-mędrkowanie. Święta trójca, która wywołuje we mnie natychmiastową chęć mordy. Wbrew pozorom milczenie nie jest takie łatwe, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Od dziecka uczą nas

bezsensownego produkowania jazgotu. Ciągłe pierdolenie wzbudza nasze poczucie bezpieczeństwa. Nie wierzycie? To posiedźcie z kimś przez jakiś czas w milczeniu.

Chłopak wybiegł po kwadransie, uprzednio zrobiwszy Podpałkowi serię zdjęć. Pewnie spieszył się na tramwaj. Dziwne, że jeździ komunikacją miejską. W naszym zburaczalym społeczeństwie nikt przy zdrowych zmysłach, kto ma nawet grata, nie porusza się tramwajami po mieście. A tym bardziej pedalskim rowerem. Lepiej stać w korku godzinę we własnym samochodzie. Może ktoś z rodziców odebrał mu auto na kilka dni? W ramach kary za złe stopnie. To by tłumaczyło gorliwość neofity w robieniu zdjęć gazecie i w sprawdzaniu czasu, który pozostał do odjazdu tramwaju. A może się zupełnie mylę i oto rośnie przede mną młody bogacz Polski północno-wschodniej, pozbawiony kompleksów, który dorobił się na rozwożeniu pizzy.

Wracając do feralnego dnia, tego wieczoru czułam się inaczej niż zwykle. Najpierw było mi zimno. To było bardzo dziwne, zważywszy na 37 °C na zewnątrz. Przez moje ciało przechodziły dreszcze i złapały mnie mdłości. Nawet rzygnęłam sobie do zlewu w łazience, co normalnie mi się nie zdarza. Wiele dni potem w myślach nazywałam ten dzień pierwszym. A może ostatnim normalnym?

- Zatrucie - pomyślałam, próbując sobie przypomnieć, co zjadłam w ciągu ostatnich dni. Pasztet sojowy, hummus, czerwona fasola, makaron z sosem pesto. Bazylia? Z trudem człapałam od komputera do komputera. Gasila światła. Czoło zrosiły mi kropelki zimnego potu, mimo że miałam na sobie spodenki, obowiązkowo rajstopy i kowbojskie wysokie buty. Zawinęłam się szczelniej w kurtkę stylizowaną na lata 80. I wciąż miałam dreszcze. Jak dobrze, że to koniec. Spać. Ze zdziwieniem zauważyłam, że dziewczyny z innych działów również wyglądały dziwnie. Były blade i potargane.

- Wyobrażacie sobie, że zwymiotowałam do śmietnika? Przed chwilą - zaśmiewała się Teresa.

- A ja rzygnęłam na swój monitor! - śmiała się Karolina nazywana Szprychą. - O! Posikałam się ze śmiechu!
- dodała nieco zaskoczona, słaniając się na nogach i bełkocząc.

- A ja obrzygałam babkę, która podeszła zapytać, gdzie jest toaleta. Co myśmy takiego zjadły? - głośno zastanawiała się Kasia, która wyglądała jak połączenie Ryjka z Małą Mi.

- Oj dziewczyny! Kto wam wniesie lodówkę na czwarte piętro, jak wszystkie jednocześnie się rozchorujecie. Za mało nas jest na świecie, bo nie chcecie się należycie rozmnażać, pewnie w trosce o figurę! - Gruby Jerzy pokrzykiwał tubalnie i obleśnie niczym ekshibicjonista machający kutasem w parku.



TAKŻE TEGO...

No tak, w trosce o figurę. Reszta to przecież tylko dodatki. Obrzuciłam go szybkim spojrzeniem. On sam pewnie w życiu za dużo się nie nanosił ani nie nabiegał. O jego kiepskiej kondycji świadczył świszczący oddech i chudziutkie ramiona. Słyszac tę penisią, najświętszą prawdę kobiety jak na komendę zaczęły poprawiać włosy, sprawdzać właściwość położenia piersi numer jeden oraz piersi numer dwa. Niektóre wycierały wymiociny z ust i dyskretnie przeglądały się w podręcznych lustreczkach, robiąc miny niczym serialowe panie domu z amerykańskich przedmieść. Wzrok Jerzego zatrzymał się na wysokości mojego tyłka, ale widocznie nie miałam miny zachęcającej do flirtu, bo Jerzy zaczął tańczyć z Karoliną. Potem próbował prosić do tańca wszystkie kobiety.

- Spierdalaj - pokazałam mu środkowy palec.

Czyli za niedługo powali mnie srogie sranie. Po wszystkim będę wyglądała jak pensjonariuszka obozu pracy a wilczym apetytem. Do tego tydzień na uspokojenie apetytu i złapanie równowagi flory bakteryjnej.

- Do jutra! Wyszłam na zewnątrz zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie poczułam ulgi. Cały świat dziwnie śmierdział. Śmiercią, zgnilizną, mchem. Znowu chwyciły mnie mdłości, a świat wirował jak w reklamie Tigera o ciężkich porankach. Złapałam się Baby Pruskiej stojącej nieopodal budynku biblioteki.

- Wstydziliby się pani. Taka pijana z pracy wychodzić. I to w poniedziałek! Bibliotekarka, kurwa jej mać. A dzieci patrzają i się uczą - starsza kobieta strofowała mnie, patrząc w swoją parasolkę, jakby zastanawiała się czy mi nie przyłożyć. Nie miałam siły powiedzieć nic mądrego. Zauważyłam tylko, że wokół nie ma nawet śladu dzieci. Poza tym mają pewnie ciekawsze zajęcia niż uczyć się czegoś ode mnie. No, ale kobiecina mentalnie utknęła w XIX wieku. Świadczył o tym kapelusik noszony mimo upału, skromna, a tak naprawdę bardzo brzydka, spódnica za kolana, twarz ściągnięta grymasem i wąsik. Obok niej stanął Janek - osobistość znana na Starym Mieście od lat. Potrafił zniemacka wbiec na taras restauracji, czym doprowadzał prawie do zawału przyjeźdźnych, najczęściej starych Niemców, którzy przyjeżdżają obejrzeć nasz piękny Rathaus. Po malowniczym wtargnięciu prosił głosem filmowego amanta o kilka złotych. Rozdźwięk między jego stanowczym i rozsądnym głosem, a sfatygowaną fryzurą i porwaną nieraz kurtką, był tak duży, że zszokowane ofiary najczęściej sięgały do portfeli, z których sypały się Euro.

- I morze wydało zmarłych, co w nim byli, i Śmierć, i Otchłań wydały zmarłych, co w nich byli, i każdy został osadzony według swoich czynów - powiedział Janek z największą powagą i spojrzał w moim kierunku. Nie patrzył jednak na mnie, tylko gdzieś, hen, poza mnie.

- To jakiś kurwa, performance? Prorok i katechetka? - zapytałam, szukając wzrokiem kamer telewizyjnych. Niecodzienna para nadeł sterzoła przy budynku biblioteki, jakby zawiesił im się system. Przechodnie zaczęli na nas wskazywać i szeptać między sobą. Ostatnie, na co miałam ochotę, to być uznana za ziomalkę malowniczego duetu, więc ruszyłam wzdłuż ulicy Kołłątaja. Nogi plątały mi się jeszcze w kowbojskich butach. Jednak na starówce niemal co druga osoba była podpiła, więc poruszając się slalomem specjalnie nie wyróżniałam się w tłumie. Jacyś chłopcy krzyknęli w moim kierunku, czy nie idę z nimi na wódkę, jakieś wystrojone wieczorowo dziewczyny, zapytały, czy dawno mi nikt nie wyjechał w krzywy ryj. Dwie miały zakrwawione dzinsy. Puszczając zaczepki mimo uszu i parłam przed siebie. Po kilkudziesięciu metrach zrobiło mi się lepiej. Próbowałam sobie przypomnieć, czy mam w domu Nifuroksazyt, Gastrolit lub inne specyfiki, które są w stanie zniwelować efekty rzygania. Jeszcze nigdy nie widziałam tyłu pijanych ludzi jednocześnie. Obijali się o siebie, kłócili, a nawet kilkoro zaczęło się bić. Natychmiast podjeżdżał do nich policyjny samochód. Nie mam zwyczaju stać i gapić się na bijących się kretynów, wypadki, ani trupy.

Niecałe pół godziny drogi dzieliło mnie od domu. Koło straży pożarnej jak zwykle popatrzyłam na niebo. Było purpurowe i przecinały je drobne błyski. Uznałam, że to omamy od złego samopoczucia. Na niebie pojawiały się trzy samoloty. Leciały bardzo nisko i w jednym kierunku. Nie lubię samolotów ani nisko latających helikopterów. Zawsze, gdy jakiś nadlatuje, wypatruję kryjówki przed ewentualnym ostrzałem. Jeśli akurat jestem w budynku, zamieram jak surykatka. Nikt nie chce tak ginać. Chyba nikt nie chce. Bo manicure nie zrobiony perfekcyjnie, zwierzęta zostaną same na świecie, a gacie,

TO MÓJ KONIEC!

które mam na sobie, mają dziurę na szwie. A co jeśli w chwili agonii popuszczę kupę? Swoją drogą, kołtuńskie dylematy godne matki Helen z „Wilgotnych miejsc”. Ona też bała się, że umrze w nie dość czystych majtkach. Jak zwykle w takich sytuacjach wstrzymałam oddech i wypatrywałam zrzuconej z samolotu bomby, albo podejrzanych zmian w locie, które sugerowałyby porwanie i zamach. W wyobraźni widziałam samolot wbijający się w budynek, ludzi skaczących z okien, lecące nogi i ręce, dym i wrzask. Czy bym zdażyła zwać? Cholera wie, pewnie nie. Taki psychodeliczny miks: to, co widziało się 11 września 2001 roku na ekranie telewizora, pomieszane z wytworami własnej fantazji. Może w poprzednim wcieleniu przeżyłam taki zamach? Może byłam brytyjskim profesorem, który zginął w samolocie porwanym przez brodatych świrów? Niektórzy wierzą w takie rzeczy, może jest w tym jakaś prawda? Myślałam o brodatych wariatach, potem płynnie przeszłam do zakutanych w szmaty kobiet, tańców brzucha i rozmyślaniach o czarnookich szejkach, ich licznych synach oraz ich złotych Maserati. Jakiś czas temu czytałam, że lubianym przez nich autem jest Mercedes z silnikiem V10 Quad Turbo. Samochód jest napędzany biopaliwem i ma karoserię z białego złota.



Michał Małyś - Olsztyn nie Miami



- Podobno życie ułożyła sobie na styczek. Ideolo.

Mówi to bez śladu rozżalenia, jakby w ogóle nie przejmował się faktem, że jest to życie na styczek, a nie na stryczek. Uniknął również nazwania jej złą kobietą. Lub kurwosukodziwkoszmata, jak zwykli nazywać swoje byłe rozżaleni mężczyźni.

Nie wiem właściwie, skąd bierze się moje zdziwienie, Rafał jest w końcu przyjacielem i jako bezgranicznie wspierający go kumpel właśnie takiego zachowania, z klasą i bez niepotrzebnych resentymentów, powinienem był się spodziewać.

W nader spokojnych, mechanicznych wręcz słowach, pobrzmiwa tylko echo rozczarowania dobrą kondycją Natalii.

- Jej obecny facet zarabia sporo. Ona zarabia sporo. Nie żebym śledził jej profile, ale pisała coś o treningach, wrzucała zdjęcia z crossfitu. Tylko długo nie mogła znaleźć tego kogoś na stałe. Nie wiem czemu. Nie była brzydka. Nie była głupia. I nie jest. Tak słyszałem.

Gorycz. Weszła właśnie teraz, dość szybko, zważywszy na fakt, że chwilę wcześniej wyrzucał z siebie słowa jak robot. Do precyzyjnego określania uczuć przyjaciela nie jest mi potrzebna ponadprzeciętna empatia, nie muszę też spoglądać w tym momencie na grymas twarzy Rafała. Charakterystyczne przeskakiwanie z jednego tematu na drugi, nad wyraz sugestywna mieszanka długich pauz oraz serii zdań wypływanych w tempie ponaddźwiękowym... Wcale mu się nie dziwię. Natalia była kobietą wybijającą się ponad przeciętność.

- Zresztą. Ma typa to niech ma, co mnie obchodzi randomowy warszawski buc w jaskrawych butach do biegania. Ale wiesz, wtedy... Wtedy to mnie mocno zaskoczyła. Myślałem, że w końcu jej przejdzie. Nikt nie burzy tak długiego związku z dnia na dzień, nikt tak nagle nie wyjeżdża do stolicy.

To jest duża rzecz. Takie sprawy się ogarnia wcześniej jakoś. A ona zero, null, po prostu spakowała się w największą torbę podróżną i poszła na autobus. Resztę po miesiącu kazała sobie nadać kurierem. I wysłała mi na to pieniądze.- To mogło urazić jego dumę, ale wówczas wciąż działał poduszkujący efekt szoku. Przyznaję, dla mnie też wyjazd Natalii był sporym zaskoczeniem. Wydawało się, że całkowicie okrzepła przy swoim chłopaku, że dała się wciągnąć w projekt warmińskiego marazmu i postanowiła zapuścić w Polsce B korzenie.

Wrzucała na Instagram foty z kilkugodzinnych spacerów, zdarzało jej się robić zdjęcia chmur z balkonu, przy piwie wspominała też o zakupie roweru. Tak zachowuje się człowiek zasymilowany. Człowiek, który kocha życie nad Łyną.

- Nie żeby wcześniej nie było sygnałów - przyznaje jednak Rafał. To, na co zapowiadało się od początku rozmowy, w końcu zyskało stuprocentowe potwierdzenie. Opowieść pójdzie sama, bez dociekań i pytań pomocniczych. - O tej Warszawie już coś wspominała. Ale też o Gdańsku, Toruniu. Więcej możliwości, stabilniejsza praca. Wiesz, tak jak mówią wszyscy, którzy nie doceniają swojego. Zdaję sobie z tego sprawę, słyszę podobne słowa bezustannie. I podobnie jak Rafał potrafię mówić o nich beznamiętnie.



Znajomi wracający na wakacje opowiadają o krainach, w których niby też ciężko dostać umowę o pracę, ale umowa o dzieło daje chociaż ludzkie pieniądze. Narzeczone odwiedzających nas od czasu do czasu kumpli, sprowadzone z terenów na zachód od Wisły, patrzą na nasze miasto tak, jak carskie arystokratki wpatrywały się w jednosezonowe gwiazdeczki francuzących teatrów Moskwy i Peterbsurga. A gdy któraś z dziewcząt swoich, najbliższych, najnietykalniejszych, przywiezie z zachodniej Polski fagasa, wygląda to identycznie. Wypić, spojrzeć z góry, pokiwać głową nad spokojem olsztyńskiego żywota. I wyjechać, bo dłużej się nie da.



- Wiem, nie było idealnie. Wiem, kurwa, wiem, ale co mogłem zrobić?

Ty miałeś lepiej? Miał lepiej Kuba? Dominik? Krzykowski? Prażnik?

Mieli? Nie mieli.

Nie miałem lepiej, lepiej nie miał też Kuba, Dominik, Krzykowski i

Prażnik.

Rozumiem Rafała, rozumiemy go wszyscy mieszkający tutaj, wiążący z tym miastem swoją przyszłość. Czasami trzeba podjąć decyzję najtrudniejszą, przedłożyć spokój oraz stabilizację nad mrzonki o szczęśliwym życiu na wysokich obrotach. Precz z konsumpcjonizmem. Zen.

Z najbliższego kręgu znajomych do mitycznej lepszosci predestynowany jest jedynie Kuba, wspierany finansowo przez bogatych rodziców. Od stu lat wynajmuje pokój na stacji, którą zamieszkują również trzy studentki kierunków medyczno-weterynaryjnych, rotujące nadzwyczaj często. Jak sam utrzymuje, copółroczne przetasowania więcej mają wspólnego ze zbyt wysokimi wymaganiami kadry profesorskiej uniwersytetu, a mniej z faktem, że zdarza mu się w ciągu semestru przespać się z każdą współlokatorką z osobna, a niekiedy również w konfiguracjach.

Fajnie, a przynajmniej lepiej niż w przypadku Dominika. Ten nie mieszka, lecz pomieszkuje, tygodniami zonglując kanapami, fotelami i podłogami najcierpliwszych znajomych, od czasu do czasu wygrywając jednak na loterii waletowego losu kwartalne opcje zwalnianych pokoiów-nieużytków. Przyjaźnimy się i spotykamy dość często, mimo iż od wielu lat nie jestem w stanie pomóc mu ze znalezieniem tymczasowego lokum nawet w sytuacjach kryzysowych. Z ratunkiem nigdy nie może pospieszyć Dominikowi także Krzykowski. Mieszkamy razem, w niewielkim, dwupokojowym mieszkanku, na głowach mając dziewczynonarzeczone, on - póletatową studentkę, ja - niestrukturalnie bezrobotną artystkę.

O ile oceniania sytuacji życiowej wiecznie zbakanego i równie często szczęśliwego Prażnika bałbym się podjąć, tak zapewne nie pomyłę się, przyznając rację Rafałowi i w tym przypadku. Mieli z Natką lepiej niż on, mieli po prostu najlepiej: nie dzielili mieszkania z obcymi, z imprez wracali taksówkami, nigdy nie musieli brać trzy dni przed wypłatą chwilówki na spłacenie ponagleń, a gdyby zamiast tego niedorzecznego wyjazdu wybrała pominięcie kilku pigułek, dziś cieszyliby się z pińcetplus na drugie i trzecie dziecko. Sytuacja daleka była od tragedii i nie potrafię do końca zrozumieć, co skłoniło Natkę do wyjazdu. Pragnę wierzyć, że nie był to fakt zarabiania pieniędzy znacznie większych niż te, które miał w umowie wpisane Rafał.

- Wiesz, nie chodziło nawet o kasę. Z raz w miesiącu wyskakiwała z tą głupią gadką. Że chce spróbować, że ja mogę sobie leżeć na kanapie, ale ona woli ten czas wykorzystać. Produktywnie, tak to określała. A ja określałem to okresem. W myślach oczywiście.

Tak, Natalii mogło chodzić właśnie o próbę. Chęć sprawdzenia się, porównania swoich umiejętności z uzdolnieniami oraz pomysłowością rówieśników. Właśnie tego mogło brakować jej najbardziej w naszych okolicach, bo z kim niby mogłaby stawać w szranki?

Moja Asia coś maluje, robi to zgrabnie i w sposób przemyślany, ale pieniędzy z tego nie ma i długo jeszcze nie będzie. Asia Krzykowskiego może wprawdzie zatrudnić się na dość atrakcyjnych warunkach z racji posiadania legitymacji studenckiej, jednak minie jeszcze jeden rok akademicki i możliwość ta zniknie. Nie ma wątpliwości - pod względem zawodowym nie dorastaliśmy Natce do pięt.

Całe dzieciństwo i okres nastoletni spędziła na pilnej nauce, metodycznym wykuwaniu notatek kraszonych ośmioma kolorami. W liceum łatwo elektryzujące się warkoczyki z kokardkami zmieniała wprawdzie na włosy rozpuszczone, podążające kaskadami do połowy pleców, ale podejście do nauki i rozwoju pozostało podobne. Potem najlepsza praca inżynierska na roku, magisterka idealnie współgarniana z pierwszą pracą w zawodzie, aż szkoda było obserwować kilka kolejnych lat stagnacji na szczeblu kariery wyższym od stażu o tylko jeden poziom. Nie to, że ciężko byłoby o sam awans. W mieście zabrakło po prostu wyższego stanowiska.

- No i faktoza, chodziła wtedy od kilkunastu tygodni jak nakręcona. Regularne pobudki, bieganie albo czytanie, smoothie zamiast kanapek, nawet jajeczniczkę z pomidorkiem zamieniła na lekki omlet. Nic dziwnego, że strzeliła ją kurwica. Nikt normalny nie będzie tak działał dłużej niż trzy tygodnie.

Wypowiadając te słowa emanuje pewnością. Wcześniej nie dało się wyczuć, aby był do swojego zdania w stu procentach przekonany. Wątpię jednak, również po raz pierwszy w czasie tej rozmowy, czy jego spostrzeżenia są słuszne. Sprowadzenie problemu do zwyczajnego przemęczenia wydaje się zbyt prostym uproszczeniem.

- Jakby jej tu źle było. A mogła przecież doczekać do plażingu. Kilka dni po jej wyjeździe słońce zaczęło napażać klasycznie, tak bardzo czerwcowo. Pamiętasz? Trzy browarki na plaży i byliśmy zrobieni. Nawet się nie dało na smutno upić, bo pomost odnowiony, ludzie odbijają piłkę w koszulkach i bez, nawet gimby sępiące od ciebie szlugi jakieś takie uśmiechnięte.

Tutaj nie mogę nie przyznać mu racji, w tym roku czerwiec bardzo szybko zrobił się czerwcowy. Matka Warmia poskapiła deszczu, udzieliła nam szczodrego kredytu, z którego wszyscy korzystaliśmy chciwie i bez



opamiętania. Obfite lipcowe opady pokazały, że miał on w sobie więcej z chwilówki niż uczciwej pożyczki, ale tutaj tak właśnie się żyje. Nie oczekujesz zbyt wiele, więc każda radość uszczęśliwia cię podwójnie.

- A teraz jest jeszcze lepiej. Widziałeś przecież Ukiel, widziałeś promenadę, byłeś na siatce plażowej. Jak przyjeżdża ktoś z Wawy albo Wrocka to nie wstyd zabrać go na leniwą posiadówkę przy wodzie i browarku. Do takich zachodów słońca nawet filtrów nie musisz używać na Insta. Czego więcej potrzeba takiej dziewczynie jak Natalia? Czego więcej potrzeba nam?

Mi nie potrzeba nic więcej. Cholernie szkoda, że nie dała mu szansy na wyłożenie tych argumentów, jakby bała się, że wysłuchanie monotonicznie klepanych pochwał zamrozi marzenia o awansie i zdrowej rywalizacji zawodowej, o życiu stawiającym wyzwania, ale też wynagradzającym młodość spędzoną na ciężkiej pracy.

- Nie myślałeś, żeby się z nią spotkać? Zachęcić Natalkę do powrotu? - dorzucam w końcu do płomiennych wynurzeń swój węgielek.

Rafał na chwilę zamiera, wyraźnie się przed czymś wzbraniając. W końcu przełamuje opór.

- A wiesz, że przyjechała ostatnio odwiedzić matkę? Nie sama. I podobno późnym wieczorem ktoś spuścił jej facetowi wpierdol pod blokiem. Nie okradł, w ogóle nic nie mówił, napierdalał go tylko, leżącego na glebie kopał, pluł na niego, kurwił straszliwie...

Rozkręcał się, mówił to coraz szybciej i głośniej, aż w końcu zamilkł na kilka sekund. Uspokajał się.

Skutecznie. Kończy głosem już stemperowanym, znacznie delikatniejszym.

- Czuję się jak Liam Neeson z Taken. Jak sierżant B.A. Baracus. Jak bohater Palahniuka. Jakbym był co najmniej w Kalifornii. Albo innym Miami.

Na przyrodzie nie zrobiło to wyznanie wrażenia. Chłodny wieczór z pewnością zmusi nas do zamienienia parkowej ławki na obskurny pub.



**BYŁ
TO TAKI
MIŁY
PAN**
■ ■ ■

Dariusz Górkiewicz

Utopione kamienie śpią

Mały Człowiek stanął przed ścianą lasu i czekał. Na co? Nie wiedział. Przeczynał tylko, że na myśl pewną, która powiedziała mu w czym rzecz. Coś miało się wydarzyć. Stał cierpliwie. Był niskim chłopcem, przez wszystkich zwanym Małym Człowiekiem. Urodził się w swojej własnej wyobraźni osiem lat temu. Wyglądał na lat dwadzieścia. Szczęściarz? Być może. Mały Człowiek czekał.

Niedawno przestał padać deszcz. Pełznąca nieopodal po mokrej powierzchni ziemi dżdżownica oglądała zadziwiający twór, jakim dla niej był Mały Człowiek.

- Jaki wielki, Mały Człowiek, no, no – pomyślała dżdżownica.

- Jaki śmieszny, głupi robak – powiedział na głos chłopiec.

Słońce weszło nad gęstwiną zielonych koron drzew. Rosa mieniła się kolorami tęczy. Żuczki w trawie zakończyły toaletę. Wysoko w przestworzach kołował jastrząb. Wypatrywał żeru i czujny szybował. Mały Człowiek dostrzegł drapieżnika i zaciągnął się powietrzem głęboko, jakby uczył się palić dżointa. W tej chwili zazdrościł ptakowi skrzydeł, niebu wysokości, słońcu ciepła, chmurom bezstronności, powietrzu czystości, dniu jasności. Mały Człowiek wszystkiemu zazdrościł. Wypełniony naraz złością, zaczął rozglądać się za dżdżownicą. Gdzie się skryła? Musiał ją odnaleźć i rozgnieść. Jednak, gdy tylko dżdżownica zobaczyła przemianę Małego Człowieka w wielkiego kretyna, szybko czmychnęła, jak to tylko dżdżownice potrafią.

- Jaki ten świat obrzydliwy! I tak znajdę jakiegoś robaka, aby go rozgnieść! I tak znajdę! Pieprzona dżdżownica!

Jastrząb wciąż kołował, złote słońce świeciło na niebie, a chmury pochowały się za wzgórzami. Dżdżownice ryły norki i ostrzegały różne istoty pośród traw, żeby dzisiaj wystrzegały się ludzi. Kolory wokół były zielono-złoto-błękitne, białe od rumianków i tysiąca innych małych, kolorowych, niezidentyfikowanych punkcików. Łąka w kwiatkach i trawach rozspiewała się trelami ptaków. Włókł się sennie spokojny, jasny, letni dzień.

Motyle z daleka obserwowały Małego Człowieka. Dzisiaj nie podfruwały zbyt blisko. Wiedziały, czego mogą się spodziewać po zazdrosnym chłopcu. Oberwane, połamane skrzydełka, porozgniatane na miazgę małe tułowia.

- Cześć Mały Człowiek!

Chłopiec trochę z przestachem, ale więcej z ciekawością, odwrócił się. Ktoś go podszedł, wreszcie coś się wydarzy. Patrzył na nieznanego. Przed nim stał wysoki, postawny mężczyzna. Cygan albo mieszaniec – pomyślał Mały Człowiek.

Nieznanomy z szelmowskim uśmiechem patrzył prosto w oczy chłopca, aż ten po dłuższej chwili milczenia odwrócił wzrok. Wtedy przybysz przedstawił się.

- Andriusza Cygan – i zaraz zaczął wypytywać: - A ty Mały? Czemu tak samotnie tutaj, na tej łące? Straszysz robaki, co?

Jednak Cygan. Ciekawe czy prawdziwy Rom, czy też zwykły złodziej. I czego ode mnie chce? – chłopiec nie odzywał się i patrzył nieufnie na nieznanego.

Obaj stali pośrodku łąki, rześkiej i pachnącej, rozświetlonej czystym złotem, obleczonej błękitem i tęczą fruującą jak motyle z wiatrem w ostatnich rannych wilgociach mglistych, już tak bardzo, bardzo rozrzedzonych. A może to rosa szykowała się do lotu?

Mały Człowiek sięgał Andriusza Cyganowi ledwie do pępka. Mały Człowiek, mały blondyn, trochę gruby, trochę złośliwy. Andriusza był wysoki, przystojny i zadowolony z siebie. Próżniak i ladaco, który ledwie jeszcze parę godzin temu zabawiał się z co najmniej dwiema dziewczkami, czym tak się podbudował, że nieśmiertelność czuł nawet w paznokciach u stóp. Aż pstrykał wesoło palcami w butach. Wszak nikt tego nie zobaczy, nie usłyszy.

- Przestań pstrykać palcami, to może pogadamy – powiedział Mały Człowiek.

Andriusza otworzył usta ze zdziwienia: - No skąd wiesz, mały?

- I wymyśl mi imię. Wszyscy mówią, Mały. Mam dość Małego! Wymyśl, to może pogadamy.

- Ale skąd wiesz?

- Najpierw imię!

Mierzyli się wzrokiem. Mały Człowiek nie był taki głupi, jak można by wnioskować po jego złości, nie był.

- Benek.

- Benek?

I nastała cisza, która wpływała razem z niepewnością do serca Cygana. I pomyślał Andriusza, że dzieci są przerażające, gdy nie czują respektu.

- Chciałem rozdeptać dżdżownicę. Nie chciałem jej nastraszyć, tylko naprawdę rozdeptać. Dla dżdżownicy nie ma to znaczenia. A jeśli zostanie choć kawałek, to dżdżownica robi się tylko krótsza, ale jest dalej, nic się nie zmienia. Wiesz?

- Zmienia się, Benek, zmienia się dżdżownica, jej długość się zmienia.

Benek popatrzył na Cygana z pogardą.

Jaki duży, głupi Cygan. To z pewnością złodziej, a nie Rom. Trzeba być ostrożnym. Bardzo, bardzo być ostrożnym.

- Nieprawda! O takich rzeczach, my dzieci, wiemy najlepiej!

- Jasne, jasne, mały – rzucił opryskliwie Cygan.

Mały Człowiek w jednej chwili obrócił się na pięcie. Obraził się i ruszył przed siebie.

Jaki duży głupi Cygan.

Chłopiec w drodze powrotnej ponownie ujrzał dżdżownicę, tę samą. Poznał ją po małym pieprzyku na trzecim segmencie za głową. Robak nie widział Małego Człowieka i spokojnie sobie pełzał.

Nie rozdepczę jej – pomyślał Benek – Już mi przeszło. Przy takim durniu, jak głupi Andriusza, to ta dżdżownica jest całkiem, całkiem stwór.

Andriusza Cygan wołał jeszcze za chłopcem, lecz ten nie odwrócił się. A Cygan nie ruszył za nim. Mały Człowiek nazwany Benkiem, poszedł do wsi. Miał dość łąki.



W klatce mieszkało nas od chuja. Ktoś wymyślił, że w czteropiętrowym bloku można zrobić windę, więc na jednej kondygnacji architekci upchnęli po pięć lokali. Po wybudowaniu czteropiętrowca okazało się jednak, że konstrukcja osiada, więc zrezygnowano z wind, bo te nadmiernie obciążały budynek. Został więc pusty szyb, spirala schodów przytulonych do ścian, a na dachu dobudówka przypominająca dziuplę, w której miała chować się winda.

Na parterze zmieściły się cztery mieszkania. Część powierzchni piętra zajmowały schody do piwnicy, a część zaulek przy wyjściu z klatki, który zarezerwowano na dwa rzędy stalowoszarych skrzynek na listy, wózki i rowery. W tym miejscu te wszystkie Wigry i Romety miały być bardziej bezpieczne niż na dole klatkowego szybu, bo nikt nie strzykał na nie śliną z drugiego czy trzeciego piętra. Nikt nie odchrząkiwał flegmy z pierwszego piętra, bo było za nisko, a na czwartym żaden z nas nie mieszkał. Dobrze celowało się w siodełka i do wózków z drugiego piętra, bo tam gnieździł się Kicia lub z trzeciego, gdzie kwaterowałem ja. Zatem przez pewien czas rowery były bezpieczne we wnęce przy skrzynekach na listy, ale wkrótce nauczyliśmy się ćmić papierosy, które potem gasiliśmy na siodełkach tych wszystkich składaków, wypalając w nich dziury.

Lokale na parterze zajmowali kolejno: Kowalski z córkami Agnieszką, Kaśką, Magdą i żoną, Pieniężny z synem, córką, żoną i kotem oraz mój przyjaciel Koń z braćmi: Czachą i Pawłem. Nie od razu dostrzegliśmy tę ironię: Kowalski miał trzy córki, ojciec Konia trzech synów. Ich drogi jednak nigdy się nie przecięły – w odróżnieniu od spojrzeń. Obok drzwi mojego kumpla, które były naszym stałym miejscem zbiórek, zainstalowano kaloryfer, dlatego okupowaliśmy go często, wygrzewając się przy nim jak koty. Irytowało to mieszkającego tuż obok Pieniężnego, który z regularnością krakowskiego hejnalisty wychodził wieczorami przed drzwi i nas strofował. Gasiliśmy go wyzwiskami, jak pety na siodełkach rowerów.

Na pierwszym piętrze przez jakiś czas rezydowała Urszula, właścicielka platynowych włosów i figury smukłej jak słomka w drinku. Urszula chodziła do bardzo dobrego liceum, przynosząc z niego doskonałe stopnie. Miałem okazję trzymać ją kiedyś w niepewnym objęciu na kolanach, bo dorastająca koleżanka popiła w noc sylwestrową, zarzygała Kici pół mieszkania i rozpląnęła się na mnie jak roztopiony śnieg na wiosennym chodniku. Spędziliśmy w tym uścisku dalszą część nocy. Urszula trzeźwiała, gdy ja odurzałem się jej zapachem, wsuwając nos w miękkie włosy pijanej koleżanki. Pewnego razu, nie wiedząc nawet kiedy, dziewczyna zniknęła, przestając dzielić z nami niepewną przeszłość.

Tuż obok platynowowłosej swoje miejsce do życia znalazł Dobosik. Siwy jak popiół emeryt, niezwykle ruchliwy jak na swój wiek. Dobosik miał rozrusznik serca, bał się włączać światło na klatce i zachodziliśmy w głowę, czy może zabić go bateria.

Pod ósemką żyli Renata i Przemek, który miał w najlepsze podanie i dzięki jego dobrze ułożonej lewej stopie strzelaliśmy mnóstwo goli. Nasz osiedlowy środkowy pomocnik zniknął równie szybko jak Urszula.

Renata i Przemek dzielili ścianę z błękitnooką Izą, do której Browar wypłakiwał oczy. Wydeptywał ścieżki, wypukiwał jej wyjścia na spacer z psem, wypraszał zainteresowanie. Bezskutecznie. Po dwudziestu latach, zataczając się z małpką Żołądkowej Gorzkiej, Browar mówił wciąż o Izie z tą samą atencją, choć zbrutalizował język i teraz chciał ją ruchać, a nie kochać.

Na drugiej kondygnacji trzypokojowy lokal zajmował Kicia z siostrą Anetą i bratem Sławkiem. Kicia jako pierwszy miał Commodore 64 i trwałe blizny. Znęcaliśmy się nad nim w poczuciu wyższości, choć mogliśmy sobie to darować, bo robił to za nas jego ojciec. Kicia mężnie znosił te wszystkie razy, kuksańce, kopniaki i dźgnięcia. Nawet ojciec nie mógł go złamać, choć złamał na nim kij od miotły. Vis-a-vis Kici, za podwójnymi drzwiami, skrył się Rybka z rodziną.

Nie wiedzieliśmy czy to tani geszefciarz, regionalny mafioso, czy też przemysłowiec fajek i wódki z Obwodu Kaliningradzkiego. Rybka miał urodziwą żonę i markowe ciuchy, które na początku lat 90. kłuły w oczy całe osiedle. Chodził w brązowych i czarnych skórach, z szeroko rozstawionymi nogami, bujając się dumnie pod blokiem. Kiedyś ktoś zauważył go wywieszonego przez okno głową w dół. Barczyści koledzy Rybki potrząsali nim, próbując wydobyć z niego dług. Od tej chwili Rybka na dobre zatrzasnął się za podwójnymi drzwiami.

Na trzecim piętrze mieszkaliśmy ja, obok Pawłowscy. Z pożądaniem patrzyliśmy na ich najstarszą córkę – Martę – ciemnooką, czarnowłosą, podobnie jak Urszula, dobrą uczennicę. Po przekątnej trzypokojowy lokal zajmowała Ruda Miotła, jak określała sąsiadkę moja matka. Kobieta sprowadziła się pewnego razu z mężem, potem się z nim rozwiodła i związała z innym, miedzianowłosym mężczyzną. Urodziła mu troje rudych dzieci, więc moja matka nie wykazała się kreatywnością w wymyślaniu ksywy. Gdy brzdące dojrzewały, w tak zwanym międzyczasie, samobójstwo popełnił były mąż Rudej Miotły. Gest bez finezji – zawisł na klamce. Ta śmierć poruszyła nas, bo była pierwsza. Inne również nas dotykały, ale z czasem nie tak intensywnie. Ludzie na osiedlu potrafili zatłuc kogoś na śmierć, wyskoczyć z okna w poczuciu bezradności i przygnębienia, trafiło się bratobójstwo. Jednak najczęściej zdychano z zapicia. W grę wchodziły

jabole, denaturat, rosyjska wódka czy spirytus lotniczy, którym czyszczono silniki samolotów na nieodległym lotnisku.

Czwarte piętro nas nie obchodziło, bo nikt ważny dla nas tam nie mieszkał. Trafialiśmy na najwyższą kondygnację najczęściej w wakacje, kiedy po drabinie przez dobudówkę nad szybem windy, wchodziliśmy na dach. Grywaliśmy na nim w szachy, paliliśmy Mocne bez czujnego oka rodziców, opalaliśmy się, smarując przy tym ropą, żeby mocniej się strzaskać i podglądaliśmy przez lornetkę sąsiadów. Szczególnie Emilię, eteryczną blondynkę, właścicielkę małego, głupiego pudła. Na dach ciągnęliśmy najodważniejsze dziewczyny, pozując na romantyków, cytując od niechcienia sonety Mickiewicza i wpatrując się z wybrankami w gęstą sieć gwiazd, jakby miały nas dokądś zaprowadzić. Klatka była placem zabaw, punktem spisków, miejscem organizacji wszelkich drak, główną bazą alkoholową i papierosową, choć trzeba uczciwie przyznać, że dużą rolę w kwestii upajania i odurzania odegrała również piwnica. Na klatce graliśmy w Makao, Pana, Fortunę, rzucaliśmy kośćmi, czytaliśmy komiksy, toczyliśmy piłkę tenisową, irytowaliśmy sąsiadów. Tutaj rodziły się idee potrafiące przetrwać dłużej niż dobę, szalone pomysły kończące się uniesieniami lub łzami. We wnęce przy skrzynkach planowaliśmy napady na kolędników, dzieliliśmy pieniędzmi z kradzieży, zastanawialiśmy czyja piwnica jest najłatwiejsza do obrabowania, spotykaliśmy z uczennicami z pierwszego LO, którym za kasę wraz z Koniem pisałem wypracowania z języka polskiego. Klatka stanowiła axis mundi. W zimie zastępowała dom, bo stanowiła jedyne miejsce spotkań – żaden z nas nie dysponował przestrzenią, w której moglibyśmy swobodnie przesiadywać przez kilka godzin. Klatka zajmowała nas bez reszty, choć z czasem ustąpiła innemu miejscu - Nisakowi. Pamiętam dość dobrze, kiedy to się stało. W pewne czerwcowe przedpołudnie, tuż po rozdaniu świadectw, staliśmy beczynnie zastanawiając się jak wypełnić nadchodzące dwa miesiące wakacji. Wypalaliśmy jakieś pojary wydłubane z żeber klatkowego kaloryfera myśląc tępo, czym moglibyśmy się zająć. W pewnym momencie Koń złapał się pod boki, jak kapitan na okręcie, odwrócił w naszą stronę i zadał pytanie, które rozpało nas na kolejne lata: - Kurwa, chłopaki, a jeśli na Nisaku jest zakopany jakiś skarb?!



No!
Cieszysz się, że w końcu założysz te nowe ubrania, co ci je ostatnio w mieście kupili.
Babcia pociągnie za włosy, warkocze zaplecie, kokardy zawiąże.
Czujesz się trochę jak błazen w tych kokardach, ale już dobra. Lakierki za to są.
Mama zostaje w domu, ale modlisz się za nią, żeby w końcu drogę do Jezusa znalazła.
A ona w tej kuchni z gołym tyłkiem na ścianie, co to ksiądz potępił na kolędzie.
Różowa wstążeczka we włosach. Co za wstyd!
Babcia każe zdjąć, mama się wyklóca, że to sztuka jest.

Akt.

Jarasz się, że wszystko znasz na pamięć:

moja wina, moja wina, moja baaaaardzo wielka wina.

Dorośli z powagą zagarniają pięścią powietrze i biją się w piersi.
Masz sześć lat. Twoja wina jest niewspółmierna do tego, co możesz unieść.
Twoja wina wciska cię w glebę i nie pozwala latać.
Nie możesz robić tego, do czego cię stworzono.
Zamiast latać taplasz się w kurzu górnej drogi.
Przez szparę w futrynie wyglądają ministranci.
Jest i ten, co później będzie chciał do seminarium, ale w końcu zamieszka z *kołegą*.
Przysypiasz podczas kazania. Tam ciągle o szklance i butelce.
Myślisz o wujku Franku.

Ogłoszenia duszpasterskie i jedyna nadzieja w tym, że GS będzie otwarty.
Nawpierdalasz się cukru, dasz sobie porządnie w żyłę przed nieuchronnym.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Mamo, modliłam się za ciebie w kościele, żebyś z nami chodziła.

Tata Wiolety też zaczął i przestał pić.

Nieuchronne:

smażone skrzydełka z ziemniakami i kiszonymi.

Dziadek mlaska.

Mama wychodzi.

Babcia siorbie pijąc kompot.

Z kim jeść?

Nikt nie mówi.

Telewizor.

Firanki w oknie jak z ołowiu.

Śmierdzą papierosami.

Tam gdzieś błękitne niebo.

Dom od południa nie ma okien.

Tamci śpią.

Nudno ci.

Coś cię w środku uwiera.

Śmierdzi papierosami.

Chce ci się cukru, o Boże, jak bardzo chce ci się cukru.

Babciuuuuuu, zrób mi cukierki.

Babcia wrzuca na patelnię:

worek cukru, śmietanę, kakao.

Miesza.

Wpierdalasz.

Uffffff.

Ulga.



JOANNA ŁAWICKA

KORONKA

Łaskiś pełna, refleksjo poranna,
z sennego koszmaru umyta,
promienną jawa pod powiekami.

Łaskiś pełna, refleksjo przejrzysta
jeszcze wczoraj tak błacha, nieczysta,
przedwieczorną zbrudzona zadumą.

Łaskiś pełne, olśnienie o świcie
kapryśne, szczebiocące dziecię
matki rozterki i ojca zamiaru.

Błogosławionaś ty, myśli bez skazy,
pomiędzy zmaconymi wodami
wszechświata. Myśl się za nami.

KURIOZUM

Czekam aż pranie popełni samobójstwo
W stylu wysokim, bezapelacyjnym
Może już dzisiaj samo się powiesi
Ja nie mam siły
Nie mam ochoty
Ręki do tego nie przyłożę

Obecnie leży zmięte, zmoczone
Pięć kilo wodą spokojnie ocieka
Czekam. Może na to wpadnie

Przed chwilą jeszcze cicho parowało
Teraz wystygło, zalega zziębnięte
Powiesi się
albo tam zgnije

Czekam, aż pranie popełni samobójstwo



STARSZY GLINIARZ: Co masz?

MŁODSZY GLINIARZ: Facet po czterdziestce, nie ma dokumentów, trochę nam to zajmie...

STARSZY GLINIARZ: Przyczyna zgonu?

MŁODSZY GLINIARZ: Przyczyna zgonu? A co ja... wróżka? Nie wiem, dostaliśmy telefon, że leży przy drodze i tyle.

STARSZY GLINIARZ: Ktoś go ruszał albo dotykał?

MŁODSZY GLINIARZ: Nikt tu niczego nie ruszał.



STARSZY GLINIARZ: Ale głową mógłbyś czasami.

MŁODSZY GLINIARZ: Bardzo śmieszne. Wiem, że jest późno, ale co poradzę?

STARSZY GLINIARZ: Ty? Ty nic nie możesz poradzić. Kto go znalazł?

MŁODSZY GLINIARZ: Tamta, co tak macha rękami.

STARSZY GLINIARZ: Przeżywa?

MŁODSZY GLINIARZ: Przeżywa.

STARSZY GLINIARZ: Popatrzymy?

MŁODSZY GLINIARZ: Proszę bardzo. *[Podchodzą do leżącego.]* Jak już mówiłem, facet raczej po czterdziestce, przy kasie, pan zobaczy, jaka marynarka. A ten pasek, krawacik i koszula... Elegancik, jego mać.

STARSZY GLINIARZ: Przeszkadza ci?

MŁODSZY GLINIARZ: Nie, dlaczego? Tylko sobie oglądamy, prawda?

STARSZY GLINIARZ: Dalej. Nie ma buta?

MŁODSZY GLINIARZ: Jest, leżał kilka metrów od niego. Potrąceni ludzie czasem gubią buty.

STARSZY GLINIARZ: Poczekaj z tym potrąceniem. Co jeszcze?

MŁODSZY GLINIARZ: Ma dziurę.

STARSZY GLINIARZ: Od kuli? Strzelano do niego?

MŁODSZY GLINIARZ: W skarpetce. Palec mu wystaje. Taki kulturalny biznesmen, a założył dzisiaj dziurawą skarpetkę. No to będzie wstyd...

STARSZY GLINIARZ: Może ta dziura powstała podczas zdarzenia?

MŁODSZY GLINIARZ: Materiał musiałby być poszarpany albo byłoby widać ślady na skórze palca. A tu różowutki filut wystaje. Takim go rano ostatni raz widział.

STARSZY GLINIARZ: Skąd wiesz, że gość jest dziany?

MŁODSZY GLINIARZ: Drogie ubrania, ogolony, moment... [wacha] tak... dobra woda kolońska, czuć pieniądź.

STARSZY GLINIARZ: Ty na detektywa idź, ty się tu marnujesz.

MŁODSZY GLINIARZ: A żeby pan wiedział. Da pan mi rekomendacje?

STARSZY GLINIARZ: Myślisz, że taki facet świadomie zakłada dziurawą skarpetkę? Przecież dbał o siebie.

MŁODSZY GLINIARZ: Może to jakiś menadżer jest? Oni mają takie patenty, że jak jest duże ciśnienie w robocie, to oni zakładają damskie majtki i łapią luz.

STARSZY GLINIARZ: W majtkach?

MŁODSZY GLINIARZ: Faceci robią interesy na tak grube miliony, że psychika tego nie wytrzyma. I żeby sobie jakoś poradzić, wkładają pończochy czy coś, a podczas negocjacji myślą tylko o tym, co na siebie włożyli. I, że gdyby jego rozmówcy o tym wiedzieli, to byliby skończeni. Dystansują się, rozumie pan?

STARSZY GLINIARZ: Albo robią to po to, żeby nie być doskonałym. Niektórzy mają tak perfekcyjne życie, że świadomie coś psują, żeby mieć jakiś margines.

MŁODSZY GLINIARZ: Nie rozumiem, po co psuć, jak jest dobrze?

STARSZY GLINIARZ: To, że ty tego nie rozumiesz, to ja akurat rozumiem.

MŁODSZY GLINIARZ: Bardzo śmieszne.

STARSZY GLINIARZ: A nie przyszło ci do głowy, że facet zwyczajnie w świecie założył dziurawą skarpetę, bo wiedział, że nie będzie zdejmował butów?

MŁODSZY GLINIARZ: Wiedział? Właśnie widzę, jak wiedział.

STARSZY GLINIARZ: Niektórych rzeczy nie da się zaplanować. Rzeczywiście bardzo się dzisiaj pomylił, jak się okazało, że wieczorem będzie już sobie nie żył.

MŁODSZY GLINIARZ: To tak jak z prezerwatywami na imprezach. Weźmiesz ze sobą – nie pobzykasz. Nie weźmiesz – będzie potrzebna.

STARSZY GLINIARZ: Niech zgadnę... Ty idziesz z gumką.

MŁODSZY GLINIARZ: Gumki zawsze ma żonaty, bo on i tak nie zaliczy. Przynajmniej oficjalnie. A jak jest potrzeba, to bierzemy od niego.

STARSZY GLINIARZ: Sprytne.

MŁODSZY GLINIARZ: Nie za bardzo. Żona nakryła kumpla, jak kupował prezerwatywy na imprezę i przestał z nami chodzić.

STARSZY GLINIARZ: Więc macie problem.

MŁODSZY GLINIARZ: Można kilka tygodni wcześniej włożyć prezerwatywę do portfela, żeby zdążyć o niej zapomnieć. Wtedy się o niej nie myśli i nie można zapeszyć.

STARSZY GLINIARZ: Rozumiem, że „niezapieszanie” weszło ci w krew.

MŁODSZY GLINIARZ: Bardzo śmieszne. Teraz laski noszą gumki ze sobą.

STARSZY GLINIARZ: Żartujesz?

MŁODSZY GLINIARZ: Albo mają zapas w domu. Przychodzą na imprezę i dokładnie wiedzą, czego chcą.

STARSZY GLINIARZ: I bez ryzyka.

MŁODSZY GLINIARZ: Ale to nie jest fajne. Wie pan, że czuję się po tym jakoś... stłamszony.

STARSZY GLINIARZ: Że kobieta bierze cię w obroty?

MŁODSZY GLINIARZ: Niektóre to nawet zabraniają mi się odzywać.

STARSZY GLINIARZ: To mnie akurat nie dziwi.

MŁODSZY GLINIARZ: Bardzo śmieszne.

STARSZY GLINIARZ: Facet ma na sobie kilka tysięcy, a wkłada dziurawą skarpetkę?

MŁODSZY GLINIARZ: Może jego stara się na niego wypięła?

Dowiedziała się o czymś, czego nie powinna wiedzieć i gość musiał sam zadbać o siebie. Oni z taką kasą muszą mieć kogoś na boku, to kwestia wymogów pozycji społecznej. Deklaracja przynależności do kasty.

STARSZY GLINIARZ: Zaraz po domku nad jeziorem i ferrari?

MŁODSZY GLINIARZ: Ważna jest kolejność. Jak się za wcześnie zacznie, to na domek może już nie starczyć.

Drugie życie kosztuje.

STARSZY GLINIARZ: A ty skąd wiesz? Majętny jesteś?



MŁODSZY GLINIARZ: Pan pyta, czy biorę, czy to pytanie retoryczne?

STARSZY GLINIARZ: Nie pytam.

MŁODSZY GLINIARZ: Napatrzyłem się. Jeździmy na wezwania, to czasem trafi się trupek. Paniom kończy się cierpliwość, bo każda „druga” chce być w końcu „pierwszą”, nawet jak mówi, że to nieprawda. I żeby ją uciszyć, albo ją się morduje, albo przekupuje. A wtedy na domek może już zabraknąć kapusty.

STARSZY GLINIARZ: Mnie tam już martwa golizna nie rajcuje.

MŁODSZY GLINIARZ: Ale sam pan przyzna, że czasami można ładnie trafić.

STARSZY GLINIARZ: Może kiedyś, jak byłem młodszy...

Dawniej ludzie częściej ginęli w ubraniach, więc jak się raz na jakiś czas coś trafiło, to tak... było miło. Ale nawet wtedy, martwi faceci nosili kapelusze, a kobitki chociaż majtki. Teraz to tylko same gołe dupy widać.

MŁODSZY GLINIARZ: Może to przez globalne ocieplenie?

STARSZY GLINIARZ: Raczej globalne ocieplenie...

MŁODSZY GLINIARZ: Pamiętam taką sprawę, niby, że panienka utopiła się w wannie... Ekipa nie mogła się skupić. Nagle lekarz z łazienki nie chciał wyjść... rozumie pan, skrupulatny się zrobił. Technik to samo. Później znaleźliśmy w sypialni takie śmieszne zabawki. Chyba jej facet za nią nie nadążał. Nie wiem, do czego służyły te przyrządy, ale mogłem sobie wyobrazić.

STARSZY GLINIARZ: Ładna?

MŁODSZY GLINIARZ: Piękna. Mówię panu, że ładniejszej nie widziałem. Takie cycki miała... Zresztą, reszta też perfekt. Zdeptaliśmy większość śladów i mała afera była, bo w końcu jeden z bystrych się domyślił, że to nie był wypadek.

STARSZY GLINIARZ: Kochanek?

MŁODSZY GLINIARZ: A jak! Bogaty gnojek, co od bramy do drzwi jego domu, to z dwa kilometry jechaliśmy.

I wie pan, co nam w końcu powiedział?

STARSZY GLINIARZ: Że mu się znudziła, albo jej zachciało się więcej.

MŁODSZY GLINIARZ: Mnie ona by się nigdy nie znudziła. Ale ma pan rację – facet był szantażowany.

STARSZY GLINIARZ: Myślisz, że on mógł nosić dziurawe skarpetki?

MŁODSZY GLINIARZ: Ten bogacz?

STARSZY GLINIARZ: Ta...

MŁODSZY GLINIARZ: A ja wiem... jak się ma tyle forsy? Ale nie, oni mają jednorazowe koszule za sto dolarów sztuka. To skarpetki chyba też.

STARSZY GLINIARZ: W końcu każdemu czasem coś się zacina.

MŁODSZY GLINIARZ: Myśli pan?

STARSZY GLINIARZ: Jakiś trybik we łbie nagle wypada ze swojej ośki. Czasem od narkotyków albo wódy, a czasem ze stresu. A najczęściej tak po prostu. Pewnego dnia tracą czucie. Patrzą na swoje konto w banku i zera stają się zwykłymi zerami.

MŁODSZY GLINIARZ: Pan również mi na bogatego nie wygląda.

STARSZY GLINIARZ: Dużo ludzi przesłuchałem w życiu. Takich koleś też. Jeden wpakował się samochodem do jeziora. Nos miał biały jak u piekarza, a na przednim siedzeniu głowę kobiety.

MŁODSZY GLINIARZ: Szajba?

STARSZY GLINIARZ: Pierwszej klasy. Mówił, że z małżonką wybrali się nad jezioro popływać, a wcześniej byli w muzeum. I rzeczywiście, na monitoringu widzieliśmy, jak łązi z reklamówką i ogląda obrazy.



MŁODSZY GLINIARZ: Z żoną?

STARSZY GLINIARZ: W reklamówce.

MŁODSZY GLINIARZ: A pamięta pan sprawę Dużego Maksa?

STARSZY GLINIARZ: Kto przeszukiwał kieszenie?

MŁODSZY GLINIARZ: Ja. Nic nie znalazłem.

STARSZY GLINIARZ: Kluczy, pieniędzy, gumy do żucia?

MŁODSZY GLINIARZ: *[Próbuje wypluć gumę.]* Nic...

STARSZY GLINIARZ: Żartujesz? Nie wierzę!

MŁODSZY GLINIARZ: To tylko guma. Wielkie mi co...

STARSZY GLINIARZ: Wypluj!

MŁODSZY GLINIARZ: Dlaczego?

STARSZY GLINIARZ: Wypluj kretynie, bo cię zawieszę.

MŁODSZY GLINIARZ: Za gumę?

STARSZY GLINIARZ: Chcesz się przekonać?



Andrzej się zakochał. Tak po prostu, totalnie. To się musiało kiedyś zdarzyć, bo płaszczyzna porozumienia ze światem bywa cholernie krucha. Raz na górze, raz na dole... Andrzej zdecydowanie woli być na górze. Nieekologicznie wysysa tym ze mnie resztki entuzjazmu. Bo ja Andrzeja kocham od dawna. Od dwóch lat dokładnie. Andrzej jednak nigdy nie ukrywał, że woli chłopięce proporcje. Nie wyszła mi ta relacja i ten dzień, tydzień, a jest dopiero wtorek i boję się, co będzie w niedzielę.

– Mam tego dość– mówię– Przegrałam ten dzień, Andrzej.

–Powinniśmy się rozerwać–odpowiada. –Może pójdziemy dziś do Four Clubu? Mogłabyś sprawdzić swoje skłonności.

– To twoja nowa fantazja erotyczna czy po prostu cię pogięło? – odparowuję.

– Raczej potrzeba. Tylko tam mogę dziś spotkać Krzysztofa, a wiesz...ja wariuję bez niego.

– Przecież nie widzieliście się dwie godziny!

– No właśnie...

Godzinę i pięć kłótni później zmierzamy do nowego klubu. FClub od dawna stoi zamknięty, odkąd przypadki pobicia rurki przez dresów zdarzały się notorycznie. Teraz wcale nie jest bezpieczniej, klub przeniesiony w okolice Novo i Baltazara niekoniecznie cieszy się dobrą renomą. Ale właśnie tam Andrzej będzie mógł spotkać Krzysztofa, a jak sam stwierdził, bardzo zależy mu, abym go poznała. Serce mnie boli i widzę, że on się stresuje, więc wyjątkowo przestaję mu dokuczać. O 21 zasiadamy przy pustym barze. Wejścia nikt nie pilnuje, a znudzony barman tylko obrzuca

nas smętnym spojrzeniem. Jeden z nielicznych klientów– mężczyzna– patrzy w naszą stronę, ale ciężko mi dostrzec, o które z nas może chodzić. Po chwili podchodzi do nas zgrabna blondynka. Muszę przyznać, że jest piękna. Pełne wargi i szczupłe ciało przypominają mi nieco Winnego Lisa z kanału Lisie Piekło. Widać też, że zdaje sobie sprawę ze swojej atrakcyjności.

– Jesteś lesbijką? – pyta prosto z mostu.

– Nie wiem– odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Wiesz, że możemy się o tym przekonać– mówi do mnie z szelmowskim uśmiechem.

– Myślę, że jednak musisz poczekać– mówię z namysłem– Podejdź do mnie, ale dopiero, jak walnę setkę.

– Nie ma sprawy– kolejny uśmiech, znaczące dotknięcie ręki. W tym samym czasie Andrzej namiętnie wita się z mężczyzną, który obserwował nas z daleka. Oglądam się na nich i doznaję lekkiego szoku, rozpoznając w nim Krzysztofa. Jak widać dwa lata naszego związku nie tylko na mnie odcisnęły traumatyczne piętno, skoro postanowił zostać gejem.

–Ewelino, miło cię znowu widzieć– wita mnie, w ogóle niespieszony. – Zmieniłaś się. No, może tylko cycki masz nadal małe...

– Wątpię, żeby w obecnej sytuacji jeszcze cię to interesowało– burczę.

– A skąd! Raczej pomagało mi z tobą wytrzymać. No wiesz, łatwiejsze wyobrażenia– spogląda znacząco w stronę Andrzeja, który dyskretnie próbuje nie zauważać ciężkiej atmosfery. Ale nie daję mu tej szansy. Jestem wściekła, zraniona,



znudzona życiem i koniecznie muszę walnąć sobie setkę. A Andrzej niech cierpi. To był jego pomysł z przyjściem tutaj.

– W takim razie zostawiam was samych, prawdziwi mężczyźni– uśmiecham się drwiąco i odchodzę do ślicznej blondynki. Andrzej ma w oczach chęć mordy i zarazem prośbę ratunku. Podoba mi się jego cierpienie. Godzinę później opuszczamy miejsce. Jest zimno, pada, ale ja jestem podpita i jest mi nieprzyzwoicie wesoło.

– Nie wiedziałeś, że twój chłopak preferuje też dziewczynki– mówię z śmiechem. Andrzej obraca się, obrażony. – Mam nadzieję, że chociaż ty się dobrze bawiłaś– burczy.

– Wierz mi, byłam zajęta– kwituję.

– Ty tak... serio? Nie wkręcasz mnie?

– Kumpli się nie wkręca.

– I jak to jest, z kobietą? – pyta. Zamyślam się.

– Kobiety są dziwne– odpowiadam– Właściwie to było cudownie.

– Czyli miałem rację. Jesteś lesbą– Andrzej nie może się nadziwić.

– Niekoniecznie. Ja... tylko mówię, że ta setka była wyborna.

– Chyba nigdy nie byłem bardziej zawiedziony – stwierdza.

– Za to, widzisz, ja byłam.

– Kiedy?

– Kiedy byłam mała, nie przeklinałam, bo wierzyłam, że Pan Bóg przyjdzie i mnie ukarze – odpowiadam pozornie bez związku. – Jednak nigdy nie przyszedł.

– Masz mu to za złe?

– Nie. Mam mu za złe, że uczynił mnie tak emocjonalnie nieprzystosowaną.

Andrzej zamyśla się na chwilę i widzę, że szuka związku. Po chwili jego twarz rozjaśnia uśmiech.

– Teraz rozumiem– mówi– Nie ty się zmieniłaś, tylko ten, kto miał ci pomóc, nigdy nie przyszedł.

Za to my poszliśmy. Tym razem do Quźni. Jedną wódkę i trzy piwa później znów schodzimy na tematy religijne. Trochę już bełkoczę, ale sama sobie wydaję się elokwentna. Byle tego później nie pamiętać.

A Andrzej wydaje się być już nieco mniej zły o moją olewczosć w stosunku do życia. Chyba po prostu załapał, że nie ma ono dla mnie większego znaczenia.

– Bo ja żyję tylko po to, aby być koneserem piękna w każdym wydaniu– tłumaczę mu. – Miałam być Marią, wiesz?

– Ciekawy wybór imienia– komentuje.

– W Jasełkach miałam być, idioto... Co roku byłam. Ale później przyłapali mnie na obściskiwaniu z Józefem– dodaję.

– Według nauki katolickiej to powinno być w porządku?

– Bo ja wiem? Oni tak jakby żyli w czystości.

– W takim razie uważaj na plemniki latające w powietrzu– Andrzej rzuca zgryźliwie.

– Albo na zbyt czujnych księży... W ramach kary zostałam chłopem. Musiałam udawać, że chcę jałmużnę– wspominam.

– I czego to dowodzi?

– Że panom się nie sprzeciwia.

Gdy widzę te uśmiechnięte pary trzymające się za rączkę – rzygać mi się chce.

Jedno wydaje się pewne: nie warto udowadniać sobie, że będzie dobrze, gdy już na początku jest źle. Nie warto się starać, bagatelizować, rozmawiać, wybaczać, rozumieć, tłumaczyć przed samym sobą... Więcej niż nie warto... Należy zadać sobie pytanie, czy w przyszłości to, co było na początku, nie okaże się codzienną rzeczywistością?! Czy to, co cię definiuje, nie zostanie ci odebrane, zdeptane, wyśmiane?! Zapomnisz, kim byłeś. Pojawi się wstyd, pojawi się wstręt do tego, co najlepiej określało twoją osobę.

Miłość... Tak wygląda miłość?

Koledzy twierdzą, że kobiety cechuje tendencja do wymuszania na mężczyźnie ciągłej zmiany osobowości, zmiany stylu bycia i życia. Tendencja, która, mówiąc kolokwialnie, sukcesywnie przemienia faceta w dupę. Pozbywasz się jednej cechy, a na horyzoncie pojawia się kolejna.

A gdzie ten zaciekawiony człowiek, który siadał naprzeciwko ciebie i akceptował Cię w całej krasie, z każdą zaletą i wadą? Gdzie to zainteresowanie? Gdzie wdzięczność za wyjątkowe traktowanie, za podawanie płaszcza, herbaty? Gdzie fascynacja poziomem kultury? Gdzie to ciepło, uśmiech, pocałunek przed i po czymkolwiek? Gdzie te rozmowy, opowiadania, zainteresowanie twoim dniem? Gdzie ten przyjaciel, obiekt pożądania, śniadanie na trawie, wspólne wyjścia do teatru, spacer w śniegu, wspólny zachód słońca? Dokąd to wszystko uciekło? Dokąd uciekło...

A uciekło wraz z pierwszym „nie” w łóżku, z pierwszym „chcesz herbatę - to sobie zrób”, z pierwszym „te twoje głupoty”. Uciekło wraz z brakiem prezentu pod choinkę, z pierwszym wrzaskiem, który usłyszałaś, jeszcze nawet nie sięgnąwszy po ostatnią deskę ratunku - próbę wyrażenia swojego niezadowolenia, próbę wyegzekwowania prawa do miłości... Ucieka nadal, gdy dla ratowania sytuacji chcesz wyprowadzić się na dwa, trzy dni, by może dać jej czas na zastanowienie, na przypomnienie sobie uczucia tęsknoty i poziomu twojej wartości...

- „To może wyprowadź się na tydzień!” - pojawia się w głowie pragnienie. To wyprowadź się...

A wystarczyłoby, gdyby nie osądzając siebie, kobieta zastanowiła się, co zrobić by jej facet był szczęśliwy... Budząc się, by patrzyła na jego twarz, na której właśnie spoczęła jej ciepła dłoń. Niech on pamięta jej dotyk przez cały dzień. By uśmiechnęła się, gdy on otworzy zaropiałe oczy. By przytuliła, ucałowała jego usta, nie zwracając uwagi na brak świeżego oddechu. By powiedziała „miłego dnia kochanie” przed wyjściem z domu i jeszcze raz go ucałowała. By nie pytała czy pięknie wygląda, opuszczając mieszkanie, a wracając z zakupów z wielkimi torbami, by właśnie pytała, czy mógłby przynieść je z samochodu i by rzuciła mu się przy tym na szyję z szerokim uśmiechem. By spragnionym spojrzeniem patrzyła w jego oczy i każdego dnia pytała, czy się tak samo stęsknił za nią, jak ona za nim. By dziękowała za to, że w pędzie przygotował dla niej obiad, nawet jeżeli był kompletnie niezjadliwy, a jeśli faktycznie był, by go nigdy za to nie krytykowała, bo przecież włożył w niego całe swoje serce. I wreszcie przechodząc obok, by nigdy nie zapominała musnąć jego ramię i znowu dać buziaka, odrywając go na chwilę od zajęć. By ładnie się dla niego ubierała, a nie tylko dla zupełnie nieznaczących ludzi poza czterema ścianami. By zawsze dbała o makijaż specjalnie dla swojego mężczyzny, a nie tylko gdy opuszcza dom – dla innych. By o tym mężczyźnie cały czas myślała...

Tyle by wystarczyło... Tylko tyle by wystarczyło...

A dopiero wtedy! By cokolwiek od niego oczekiwała, ale nigdy nie żądała...



Monika Stępień

**Od jego spojrzenia w deszczu robi się jej mokro.
Nie spieszą się. Przechodzą powoli sobie przez myśl.
Będą opowieścią rozciągniętą w nieskończoność
na terapeutycznej kozetce.**

**Lekarz w karcie napisze:
Pacjent dzisiaj nieczynny. Remanent**



Kobiety wychodzą „z półek”

Półkowniczkami to twórcza grupa kobiet powstała w 2014 roku w Olsztynie, założona przez Hanę Brakoniecką i Justynę Artym, twórczynie Olsztyńskiego Literackiego Miesięcznika Mówionego.

Bożena Chrostowska, Marta Parafińczuk – prowadzące wywiad.

Jak to się zaczęło?

J.A.- W 2014 Hania, którą zawsze ciągnie do ludzi, wpadła na pomysł, żeby oprócz Olsztyńskiego Literackiego Miesięcznika Mówionego zorganizować spotkania piszących kobiet, żebyśmy mogły czytać swoje teksty i rozmawiać.

H.B.- Bo Miesięcznik zaczął nam się zawieszać. Ja mam bardzo duże serce i wszystko się w nim mieści, więc kto pisze, niech przyjdzie, niech przedstawi w wolnym mikrofonie, co mu w sercu gra. Chciałyśmy łączyć pokolenia, pokazywać debiutantom mistrzów, a mistrzom początkujących. Niestety nie wszystkim profesjonalnym twórcom to odpowiadało. W pewnym momencie powiedziałam, w takim razie spotykajmy się my, dziewczyny, kobiety. Zebrałyśmy się w roku 2014, we francuskiej kawiarence, której już nie ma. Matką chrzestną naszej grupy literatek była Tamara Bołdak-Janowska. I rzeczywiście, z półek i szuflad zaczęły zlatywać karteczki, takie gdzieś tam zapisywane pokątnie.

Półkowniczkami, przez o z kreską, ale jak się nie wie, to ma się skojarzenia militarne...

J.A.- I bardzo dobrze! Może nie tyle wojsko, jako organizacja, ale element walki, kojarzący się też z odwagą, z otwartością.

H.B.- Poza tym to nawiązanie też do filmów „półkowników”, które blokowane przez cenzurę leżały na półkach.

J.A.- Tamara uważa właśnie, że literatura kobiet, to, co kobiety myślą, mówią, jest trochę chowane, jakby upychane na półki. Chodzi o to, żeby z tych półek schodzić.



Śledząc Wasz fanpage i zmiany w opisie na Fb, można zauważyć, że początkowo zaczynałyście jako inicjatywa kobiet piszących, a od jakiegoś czasu opis zmienił się na kobiety piszące, myślące i czujące. Jak to się stało?

J.A.- Pierwotnie była to grupa kobiet, w której miałyśmy głównie czytać teksty i rozmawiać na ich temat. Ale zaczęły do nas przychodzić bardzo ciekawe kobiety, które nie zawsze pisały. Literatura i pisanie było punktem wyjścia, ale ważniejsze jest to, że spotykają się różne kobiety, które są dla siebie bardzo inspirujące, myślące, twórcze. Mamy też psycholożki, które dają bardzo cenny komentarz do poruszanych przez nas tematów.



Spotykacie się mniej więcej raz na dwa miesiące i są to spotkania tematyczne. Odwaga, wolność, związki, życie w pojedynkę, wstyd, spokój.

Co was inspiruje do poruszania takich a nie innych zagadnień?

H.B.- To są olśnienia chyba, prawda Justynko?

J.A. To jest tak, że albo to są olśnienia, albo nasze prywatne potrzeby. Życie! Czasem same coś „przerabiamy” i chcemy porozmawiać o tym z innymi kobietami. Co najzabawniejsze, stereotypy głoszą, że kobiety są zainteresowane przeważnie uczuciami, emocjami, drugim człowiekiem... Tymczasem na spotkania pod hasłem „dom” czy „dusza” przyszło może 5 kobiet, a kiedy wymyśliłam tematy „odwaga” i „wolność”, za każdym razem było 15 osób i dyskusja była bardzo gorąca, inspirująca. Jak widać, obnażamy stereotypy i pokazujemy, że kobiety chcą rozmawiać również na tematy społeczne.

Jakie kobiety przychodzą na te spotkania? Co jeszcze możecie powiedzieć o grupie?

J.A.- Są to kobiety w różnym wieku, różnych zawodów i pasji. Mamy przekrój przez wszystkie dekady życia kobiety. Najmłodsza, jaka była na spotkaniu, miała 15 lat, najstarsze są po 70 - ce. Każda dzieli się swoim doświadczeniem i spojrzeniem na świat. To nie jest grupa zamknięta, ale spotkania otwarte dla wszystkich dziewczyn. Dobrze, kiedy się przyjdzie ze swoim tekstem i go przeczyta, ale to nie jest konieczne.

H.B.- Każda kobieta jest mile widziana.

Gdzie się spotykacie?

H.B.- Mamy dwa stałe miejsca. Jedno to Pracownia Papapilo Tamary Bołdak -Janowskiej, która jest naszą mentorką i gości nas bardzo chętnie, drugie to cudowna księgarnia *Za rogiem*, którą prowadzi Dominika Radaszewska.

Używacie na waszym Fb takich pojęć jak kobiecy krąg, kobieca energia. Pierwsze skojarzenie, jakie przyszło nam do głowy, to, że jesteście współczesnymi wiedźmami...

H.B.- Oczywiście, że jesteśmy!

J.A.- Przecież nie zaprzeczmy! Kobiety przez wszystkie wieki miały potrzebę spotykania się razem, dzielenia się wiedzą i energią, czy to było przy darciu pierza, czy teraz na winie. Bardzo mi się podoba, że odradza się tradycja kobiecych kręgów, choć to, co my robimy, to nie jest stricte krąg, u nas formuła jest swobodniejsza, bardziej dyskutujemy.

W jaki sposób dzielicie się swoją twórczością z innymi?

J.A.- Miałyśmy trzy otwarte wydarzenia. Na Festiwalu Śpiewajmy Poezję w 2015 r. prowadziłyśmy panel dyskusyjny o poezji kobiet połączony z prezentacją tekstów, w 2017 roku w ramach Manify zorganizowałyśmy wydarzenie „Masz prawo mówić”, na którym czytałyśmy swoje utwory, a następnie odbyła się dyskusja z udziałem kobiet tworzących olsztyńską kulturę i sztukę. W listopadzie 2017 brałyśmy udział w spacerze performatywnym „Miasto w drodze”, organizowanym przez Teatr Węgajty. Podeszłyśmy do tematu dosłownie i zorganizowałyśmy czytanie tekstów w przestrzeni Starego Miasta.

Czy macie swój manifest?

J.A.- Nie. Nie chcemy narzucać sobie i innym żadnych sztywnych ram. Są u nas kobiety o różnych poglądach, dążeniach i drogach twórczych, każda ma prawo do swojego głosu. Zapewne niemożliwe byłoby nawet stworzenie manifestu, z którym wszystkie by się zgodziły. My zapewniamy tylko przestrzeń. Chodzi o to, aby każda kobieta miała tu swoje miejsce i mogła powiedzieć wszystko. I chyba tak jest.

Czy interesuje Was zmiana społeczna?

J.A.- Tak, często odbija się to w naszych rozmowach. Nawet jeśli my jako inicjatywa nie zakładamy linii programowej, kobiety, które do nas przychodzą, chcą zmian. Każda z nas działa w jakiś sposób na rzecz świata, w jakim chciałaby żyć, dzielimy się swoimi doświadczeniami. Słuchanie się wzajemnie jest inspirujące, bo może któraś też chce podobnej zmiany, może któraś stanie się do niej krokiem.

H.B.- Możemy się identyfikować z różnymi grupami bardzo silnie, ale indywidualnie.

Co Olsztyn by stracił, gdyby nie było Półkowniczek?

J.A.- Straciłby miejsce rozwoju i twórczej wymiany poglądów dla wspaniałych kobiet. Ostatnio Mute Sobaszek powiedziała nam, że Półkowniczki i Miesięcznik to jedne z ciekawszych rzeczy, które się dzieją w Olsztynie, bo to jest inicjatywa całkowicie oddolna. Według mnie to żywa i inspirująca przestrzeń - chcemy się spotykać, chcemy czytać teksty.

Czy spotkałyście się panie z krytyką co do zasadności funkcjonowania waszej grupy?

H.B.- To jest nasza dobra energia i raczej nie wywołuje takich negatywnych emocji.

J.A.- Na pewno nie wprost. Słyszałyśmy czasem, że dyskryminujemy mężczyzn. Niektórzy nie rozumieją też, jaki jest sens spotkań literackich, które nie opierają się na rywalizacji, tak jak slamy poetyckie, Rzeźnia Literacka i inne konkursy. Tymczasem życie nie polega tylko na tym, żeby udowodniać, kto jest lepszy. Czasem trzeba po prostu spotkać się, pobyć ze sobą, słuchać się nawzajem, bo każdy ma coś do powiedzenia. Kiedy na Półkowniczkach dzielimy się swoimi opowieściami i wszystkie słuchamy się z zapartym tchem, dzieje się coś pięknego.

Całe życie musimy coś udowadniać, musimy się z czymś zmagać, pokazywać, że zasługujemy, że się sprawdzamy, a ważne jest również, żeby móc się spotkać bez wartościowania. Myślę, że trudniej jest to zrozumieć mężczyznom - nigdy nie usłyszałam od żadnej kobiety wątpliwości na temat sensu spotkań polegających na dzieleniu się swoją twórczością i rozmowach, od mężczyzn owszem.

Na Fb widnieje wpis podsumowujący 2016 r. „Kobiety - jesteście wspaniałe”. Czy takiego potwierdzenia od kobiet dla innych kobiet wciąż nam potrzeba?

J.A.- Tak, to jest bardzo ważne, bo to rozwija skrzydła. Jednak to podsumowanie nie było wzmocnieniem, ale autentycznym zachwytem. Tematem spotkania Półkowniczek w grudniu był

„Mój 2016”. Zamysł był taki, aby każda dziewczyna opowiedziała o swoim roku, co dobrego czy złego nas spotkało. Naprawdę niesamowite było słuchanie kobiet, które są twórcze, świadome, uważne, w nieustannym rozwoju, umieją przetwarzać na swoją korzyść nawet trudne doświadczenia. A najbardziej ucieszyłyśmy się z tego, że dla wielu najważniejsze okazały się nasze spotkania i bogactwo, jakie z nich wnosimy.

Czy będzie taki moment, że kobiety poczną swoją wartość?

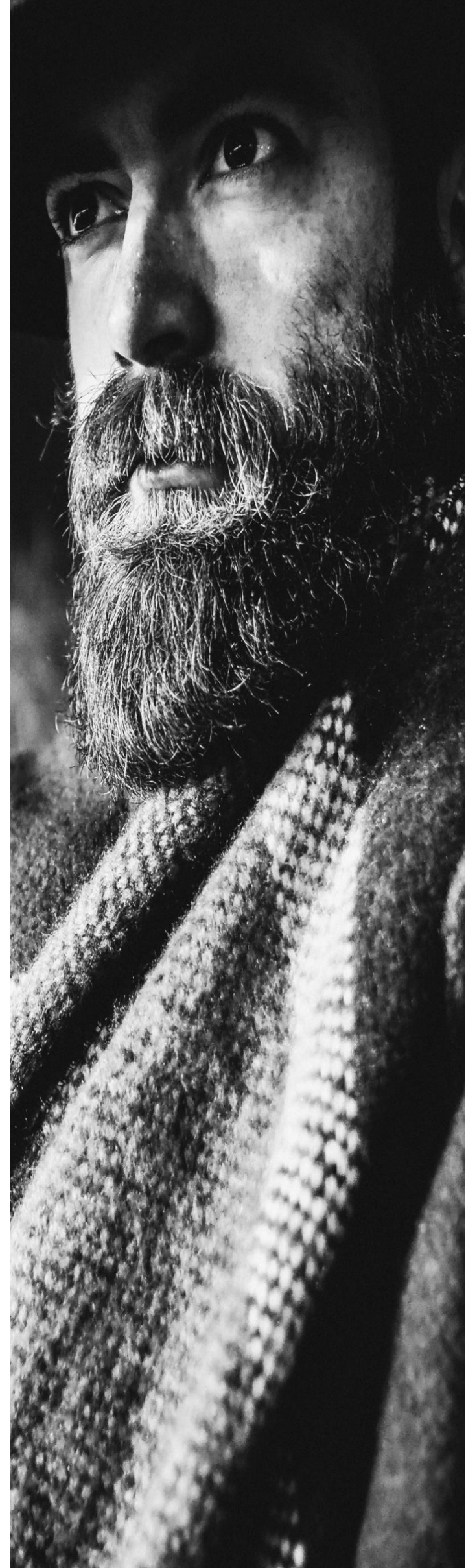
J.A.- Myślę, że jest coraz lepiej i cały czas do tego dążymy. To jest proces, który cały czas postępuje. Kiedy porównamy obecne pokolenie z poprzednimi, widzimy, że dokonał się skok kwantowy. Kobiety stają się coraz bardziej świadome swojej siły i zdolności, nie boją się realizować i podejmować wyzwań.

Kończy się 2017 r. Jakie będzie podsumowanie tego roku? Co napiszecie? Czy będzie dalej „Kobiety - jesteście wspaniałe”, czy może coś innego?

J.A.- Oczywiście! Wspaniałe, coraz wspanialsze! Gdybyśmy zrobiły podsumowanie 2017 roku, byłoby podobnie. W tym roku widziałyśmy już konkretne efekty naszych spotkań: dziewczyny, które u nas debiutowały, zaistniały w środowisku literackim Olsztyna, zostałyśmy zaproszone do udziału w dwóch inicjatywach, dzięki którym pokazałyśmy się na spotkaniach otwartych, teksty Półkowniczek ukazują się w olsztyńskich czasopismach kulturalnych.

Hanna Brakoniecka - rysowniczką, blogerka. Autorka małych form prozatorskich, które czyta od lat, zwykle w towarzystwie pieśniarzy i muzyków na licznych spotkaniach autorskich. Publikowała w prasie literackiej i regionalnej. Założyła wraz z Justyną Artym Olsztyński Literacki Miesięcznik Mówiony. Autorka trzech książek napisanych w formie 77 opowieści: o miłości, dzieciach i bogach oraz dwóch audiobooków, które można znaleźć na *YouTube*.

Justyna Artym - współzałożycielka, redaktorka i prowadząca Olsztyńskiego Literackiego Miesięcznika Mówionego i twórczej grupy kobiet Półkowniczeki. Animatorka kultury, prowadzi spotkania autorskie, redaguje teksty, czasem pisze.



Katarzyna Kokot-Góra

Bezbarwne zielone idee śpią wściekle

Bezbarwne idee nie mogą spać spokojnie
Bo są nijakie, bezpłciowe, tchórzliwe
Właśnie wtedy... Stoją i gapią się,
Ich gęby przelewają się przezroczystą cieczą
Właśnie wtedy... Siadają i gapią się
Chyba nie myślisz, że będą spały spokojnie

Czasem i w nich zagnieździ się ptak silnej idei
I przyniesie gałązkę świeżych, zielonych kniei,
Ale za chwilę chuj, znowu się wykolei,
Ach, gównno prawda,
Właśnie wtedy... Położą się i będą gapić
Na kopanego imigranta pod osiedlowym domem kultury
Na kamienowaną, zgwałconą ciężarną, której starsze dziecko stoi obok
Na sportowca, który naszprycowany dawno podeptał wieniec laurowy,
Na producenta zegarków, który zarabia dziesięciokrotnie więcej niż nauczycielka mojego dziecka,
Na nastolatka, który stoi na moście, bo koledzy wstawili jego zdjęcie na fejsa
Na dziekanów, którzy sobolami jedynie musną kobietę, lecz prawdziwie uściskną dłoń mężczyzny
Na księży z rozprutą sutanną i imamów, z których czeluści wylewa się wrzątek wymiocin
Na dziewczynę, która miała czterech chłopaków i jest dziwką
Na chłopaka, który co wieczór ma inną, ale jest macho
Niech się wyszaleje – szepczą staruchy pod wiejskim sklepem

Właśnie wtedy... Próbują odwrócić głowę,
Już czas się położyć
Lecz i tak nie uda wam się spać spokojnie
Nie macie prawa

Chomsky miał rację

Genewa 12.12.2016 r.



CZY JA WINA?

¿ANIM ALYSZ

BOŻENA CHROSTOWSKA - Dawno

Dawno nie nazywałaś mnie moim imieniem. Zacząłem już wątpić, czy rzeczywiście jestem...

Pamiętam te czasy, kiedy nawoływałaś mnie często albo sam cię wzywałem. Siedzieliśmy do nocy i słuchaliśmy twoich winyli, a muzyka sączyła się razem ze światłem nocnej lampki aż demaskował ją świt. Padałaś potem zmęczona, prosząc mnie bym sobie poszedł, bo trzeba było rano wstać. Albo rozwalaliśmy się na twojej zielonej kanapie i dyktowałem ci swoje myśli. Często nie nadążałaś pisać, rzeka słów rozlewała się zakolami, czasem jakieś zdanie utknęło na mieliźnie, a ty wtedy zniechęcałaś się, byłaś na mnie zła i klnąc, darłaś z impetem zapisane kartki.

Lubiłem też włóczyć się z tobą po mieście bez celu, zaglądać w twarze mijanych na ulicy ludzi. Czasem bawiliśmy się w wymyślanie historii do układu, jaki tworzyli swoim wyglądem i spojrzeniem. Innym razem robiliśmy zdjęcia na niby. Kazałaś mi przechowywać je w pamięci i spacerując, licytowaliśmy się, kto zapamiętał więcej detali. Śmiałaś się wtedy głośno, a ja uwielbiałem ten śmiech. Lubiłem też chwile, kiedy nazywałaś mnie swoim jastrzębiem i patrzyłaś na świat moim spojrzeniem. Widziałaś szczegóły i całości, a wszystko powiększałaś dwa razy, tylko nie wiem dokładnie, dlaczego płakałaś potem często i długo nie chciałaś ze mną rozmawiać.

To ty wolałaś wybierać czas na nasze spotkania, a wzbraniałaś się przed tym, że bym decydował o tym ja. Wiem, napinałaś swoje ciało, nie mogłaś spać, byłaś przepełniona tym niepokojem, który zabierał twój oddech i aranżował ci dziwne znajomości, od których twoje spojrzenie robiło się mętne. Bełkotałaś, kłóciłaś się ze mną albo zabawiałaś swoim ciałem zagubionych uciekinierów z rzeczywistości, bohaterko udających artystów. Potem nawalona patrzyłaś na siebie w lustro i rzygałaś bólem. Nie pojmowałaś mojego ostrzegawczego krzyku, więc darłem się jeszcze głośniej. A ty, wtedy nie rozumiejąc tego zupełnie, grzęzłaś, próbując zgubić mnie w labiryncie hałaśliwych dni. Czasem nazywałaś mnie też wędrowcem o kobaltowym spojrzeniu. Czułem się jak żywcem wyjęty ze starego, tandetnego romansu. Pisałaś na moją cześć wiersze albo snułaś o mnie opowieści, a inni łykali je gładko, bo miałaś niezłą gadkę. Bardzo mi to schlebiało, a ty powtarzałaś, że czujesz się jakby w powietrzu było więcej tlenu. Pakowałaś wówczas plecak i jechaliśmy nocnym pociągiem w góry, upajając się trawą, fajkami i dobrym gorzkim piwem.



A potem niepostrzeżenie twoja codzienność się zagęściła, byłaś zajęta wyrabianiem życiowych norm. Prawie w ogóle przestaliśmy się widywać. Próbowałem się z tobą spotykać, bo tęskniłem jak diabli. Czasem czułaś moją tęsknotę i kontaktowaliśmy się, ale winyle pokrył kurz, przestało bawić cię zagłębienie w twarze przechodniom, zaś w góry jeździłaś tylko palcem po mapie. Nie narzucałem się. Choć nie rozumiałem do końca, ufałem, że wciąż jestem dla ciebie ważny, wciąż mnie chcesz, wciąż masz mnie pod swoją skórą, która coraz mocniej zaczęła przypominać pancerz.

Wiem, wszystko się zmienia. Wiem, są ważniejsze sprawy. Wiem, za jakiś czas. Wiem, trzeba skończyć z głupotami. Wiem, przestałaś spać i twoje spojrzenie stało się nieobecne. Dorobiłaś się skórzanej kanapy, na której rozwalał się teraz on. Był jak z obrazka, jak z gazetki Jehowych, bez kantów i zagnieceń wygłaszał monologi o tym, co trzeba, co koniecznie musisz.

Naprawdę myślałaś, że go przede mną ukryjesz? Albo że mnie ukryjesz przed sobą?

A może to nawet nie przyszło ci do głowy?

Znam go, widuję.

I wiesz, regularnie gramy partyjkę szachów o ciebie.

Nieszczególny z niego koleś,

ale to cwany gracz.

JeDNA Miłość!

Wojtek-konstruktor Iskrownika

ŚWITANIE

czerwień kolorami odprawia noc
dobrze znana fala horyzontu
obok przeciąga się kot
cumy nowego portu

chwila sekundzie bliska
jaśniej powolnie dokoła
ptaków klucz otwiera przystań
snem kończona rozmowa

wołanie skrzydlatych określa
wyraz tak bardzo potrzebny
i znów światło zamieszka
bo robi to bez przerwy

...świtanie

TAKIE PISMO POWINNO ISTNIEĆ

Joanna Chłosta-Zielonka to profesorka literaturoznawstwa, zajmująca się naukowo m.in. młoda olsztyńską literaturą. Drobną brunetką, strzelającą słowami z prędkością kałasznikowa, pochyliła się nad dwoma pierwszymi numerami „Papierówki”.

Szymon Żyliński: Co Cię zainteresowało w „Papierówce”?

Joanna Chłosta-Zielonka: Może tematy, które tam się pojawiają. Są tak ekstremalne: narkotyki, przemoc fizyczna czy seksualna. W ogóle zauważyłam, że autorki piszące w tym zinnie mają takie upodobania wręcz, by w przedstawianiu sytuacji damsko-męskich, kobiety poniżać. Ja nie mam takich doświadczeń (ostatnio po obejrzeniu dwóch serii *Belfra* jestem wręcz przeładowana wiedzą o przemocy wobec kobiet) i się zastanawiam, czy to jest doświadczenie młodego pokolenia? Czy ono jest wpisane w przestrzeń eksperymentu? Czy to wynika z chęci pisarek, by spróbować siebie postawić w takiej sytuacji? Bo chyba nie jest to podszyte autobiografią, jakimiś najbardziej bolesnymi dla kobiet doświadczeniami? Może być tak, ale nie musi... Czyli mamy krąg tematów bolesnych, który tożsamy jest z przemocą. Autorki lubują się w postawieniu dwóch rzeczywistości obok siebie: tej zewnętrznej, czyli np. pięknej kobiety, niewinnej dziewczęcości i jej zaprzeczenia. Powstaje antyestetyka, która patronuje również autorom tego zina.

Czyli coś chrobocze pod powierzchnią?

To nie są uładzone teksty, wydaje się często, że są podsłuchane, bliskie mowie potocznej, czyli prawdziwe. Prawda to kategoria, która porządkuje, wyznacza, czyli każdy chce się oprzeć na konkretnie bliskim współczesności czy też ważnym dla terażniejszości. Dobry tekst literacki to ten, który jeśli trafia do czytelnika, to przez tego czytelnika jest odbierany jako autobiograficzny. Pisarz tak dobrze stworzył bohatera, że czytelnik jest przekonany, że to pisarz sam przeżył opisywaną historię. I tu właśnie sporo jest takich tekstów.

Ale może autorki i autorzy nie potrafią wspiać się na wyższy poziom i tylko opisują swoje wspomnienia?

Można tak powiedzieć, że to jest pisane życiem, własnymi doświadczeniami i dlatego jest dobre. Jest dobre, bo jest prawdziwe. Ale można też równie dobrze temu zaprzeczyć.

A poezja?

Myślę, że jest słabsza. Nie czuję jej wcale.

Asiu, jak byś widziała „Papierówkę” w olsztyńskiej przestrzeni literacko-wydawniczo-piśmienniczej? Był kiedyś „Portret”. Nie ma „Portretu”. Dobrze animował środowisko. Był zamęt, festiwale literackie, powstała seria wydawnicza. Wyszli z tego pisarze pełną gębą. Była też starsza rocznikowo, bardziej konserwatywna „Borussia”, która niedawno zakończyła swój żywot.

Podporządkowana ważnemu programowi, z ciekawymi projektami.

I też padła. Praktycznie na scenie olsztyńskiej, niewielkiej, bo małej, prowincjonalnej, nie ma teraz takiego pisma, jakie były dawniej. Czy według ciebie „Papierówka” wypełnia lukę, która powstała?

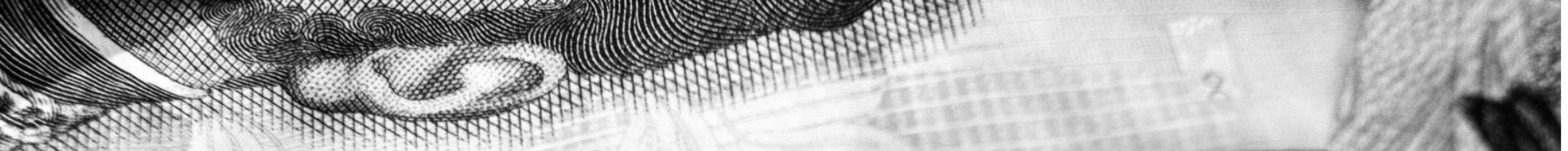
Myślę, że jeszcze nie wypełnia tej luki w tym sensie, o jaki nam chodzi. Nie została wypromowana. „Papierówka” nie jest znana. Nie miała akcji promocyjnej, w przeciwieństwie do pierwszych numerów „Portretu”, którym towarzyszyły przecież wielkie imprezy.

To były inne czasy. Tych pism literackich w Polsce było dużo. Istnieli ludzie, którzy się tym interesowali, angażowali w dyskurs młodo-literacki.

Ale w Olsztynie ich nie było, dopiero potem „Undergrunt” czy „Zoop”. Teraz nie ma sprzyjających czasów do wydawania pism papierowych. „Papierówka” to ciekawy tytuł. Takie pismo powinno istnieć.

Ale to nie jest pismo. To zin (śmiej).

No właśnie, powinna być tylko twórczość. Dużo pism podzieliło rolę „Portretu”, który z pisma, w którym na początku była drukowana głównie twórczość, i kilka recenzji, przekształcił się w pismo krytycznoliterackie. Większą część tomu zaczęły stanowić recenzje, a twórczości było niewiele. Pewnie wynikało to z tego, że w Olsztynie (który nie jest dużym miastem) niewielu jest autorów. Ale przecież ten „Portret” mógł być cieńszy – nic nie stało na przeszkodzie. Lepiej, żeby był mniejszych rozmiarów, ale wartościowy i z przemyślanym doбором autorów. I te pierwsze numery „Papierówki” pokazują, że to jest przemyślany dobór tekstów i to są autorzy, którzy mają coś do powiedzenia, a nie przypadkowe osoby.



Ale to nie są jedyni autorzy z Olsztyna, tam część osób jest z innych miast, nawet z zagranicy.

No właśnie. To są twórcy literatury, którzy mają coś do powiedzenia. To jest najważniejsze, żeby to nie byli rzemieślnicy, żeby to nie było pisane na siłę. Potrzebna jest właśnie taka gazeta-pismo, która kojarzyłaby się z literaturą, z ciekawymi tekstami, fragmentami utworów które byłoby może promocją później wydawanych książek. Ważne też, żeby znajdowało się pod ręką, darmowe, żeby można po nie wszędzie sięgnąć. Przykładem złej promocji w latach 2000-2001 była nowa „Warmia i Mazury” która splajtowała, bo była za drogo wydawana i nieudolnie kolportowana. Ważne, żeby „Papierówka” **stała się** dostępna w różnych miejscach i każdy mógł ją sobie wziąć. To jest droga do edukowania czytelnika, by pokazać, jak się tworzy dzisiaj literaturę. To musi być wszędzie pod ręką.

Ale nie ma na to kasy.

No właśnie. Nie ma pieniędzy. Dlaczego nikt nie zadba, aby odpowiedni fundusz został uwzględniony w jakimś programie kulturalnym miasta? Może kiedyś będzie to umocowane? Ale winno być ogólnie dostępne. Może być wydawane w takiej broszurowej postaci, ważne, żeby w dużym nakładzie. Żeby można było nim swobodnie dysponować: w środowisku uniwersyteckim, w szkołach, w bibliotekach, księgarniach... Bo tam przychodzą ci, którzy czytają. „Papierówka” musi ukazywać się regularnie, by jej odbiorcy czekali na nią lub jej szukali.



KINGA ADAMSKA

ZACHÓD

Zachodzę za głowę
przeminęło
Zachodzę za oko
nic nie widać
Zachodzę za skórę
nic nie czuć

Jeszcze chwilę temu
Istniałam

Księżyc


tylko to mogłam zrobić
od tamtej pory patrzę
w pełni i w półpełni
półprzytomnie każde półkole
wyczuwam

bo poprosiłeś kiedyś
bym obiecała, że spojrzę
na księżyc

KRONIKA WYDARZEŃ

- 1) Na Scenie Kameralnej Teatru Jaracza 30 października 2017r. odczytano tekst Edwarda Pasewicza *Ostatnia czarownica* w reżyserii Piotra Siekuckiego, w ramach czytań *Przymiarki dramaturgiczne*.
 - a) olsztyńska sztuka dla każdego = darmowo ☺
 - b) niezapomnianych, radosnych wrażeń dostarczył m.in. lekarz, błazen i sędzia w jednej osobie - Grzegorz Gromek
 - c) 200 lat temu w Reszlu spalono na stosie ostatnią czarownicę - taka sytuacja
- 2) 5 listopada 2017r. odbył się performatywny spacer po mieście w ramach kolejnej edycji *Miasta w drodze*.
 - a) połączenie różnych grup artystycznych z udziałem publiczności zaowocowało przechadzką po starówce
 - b) na wstępie dwa spektakle Teatru Węgajty, a po drodze czytały Półkowniczki
 - c) zmarzniętych piechurów rozgrzała aromatyczna herbata w kawiarni „Na walizkach cafe”
- 3) W Centrum Konferencyjno-Szkoleniowym UWM 16 listopada 2017r. odbył się I Warmińsko-Mazurski Kongres Przyszłości.
 - a) celebryci ze szklanego ekranu na Warmii
 - b) zdrowie, innowacje technologiczne, gospodarka, biznes. Jak w tym wszystkim nie zwariować i jeszcze odnieść sukces?
- 4) 18 listopada 2017r. w sali pod Amfiteatrem odbyła się projekcja filmu *Małżowina* w reżyserii W. Smarzewskiego. Główną rolę zagrał Marcin Świetlicki, którego następnie mogliśmy posłuchać w premierowym koncercie wraz z grupą Zgniłość.
 - a) samotność, izolacja, zamysł, czy celowy wybór?
 - b) nie ma miłości bez Zgniłości
- 5) *Pinokio - Pajacyk czy człowiek? Collodi dla dorosłych* - w Sali pod Amfiteatrem debatował Jarosław Mikołajewski, a fragmenty powieści odczytał Grzegorz Gromek. 8 grudnia 2017r.
 - a) fikcja drewnianej kukiełki, czy realistyczny bohater?
 - b) tyle wiemy o Pinokiu, ile nas sprawdzono w szkole ☺
- 6) 29 grudnia 2017r. *Silent disco u rzeźnika* w Kamienicy Naujacka.
 - a) masz decydujący głos, czego słuchasz w kompletnej ciszy
 - b) feel the flow - poczuć przypływ: wrażeń, radości, lekkości...
- 7) 30 grudnia 2017r. na dziedzińcu olsztyńskiego zamku odbył się koncert grupy Wojtek Mazolewski Quintet.
 - a) jazzowy klimat w gotyckiej scenerii
 - b) creme de la creme analogowego brzmienia kwintetu
- 8) *Marian! Tu jest jakby luksusowo: Boćkowska - Księżyc z Peweksu* 25 stycznia 2018r. w Galerii Dobro.
 - a) „bo z luksusem w PRL jest trochę jak z przynależnością do partii: wszyscy kogoś znali, ale sami nie mieli nic wspólnego”
 - b) sentymentalny powrót do przeszłości
- 9) 25 stycznia 2018r. w Książnicy Polskiej odbyło się spotkanie autorskie ze Zbigniewem Bujakiem.
 - a) co ty wiesz o konstytucji?
 - b) „prawo żyje w świadomości obywateli”
- 10) 16-17 lutego 2018r. miał miejsce w sali pod Amfiteatrem *ZINFEST OLSZTYN 2018*.
 - a) prezentacja niezależnych magazynów z udziałem Jarka Szubrychta, Piotra „Petera” Wiwczarka, Mateusza Flonta oraz redaktorów artzina *Papier w dole*.
 - b) magazyn: fanzin, artzin, punkzin...

Papierowa



CZY MOGŁABY PANI
WYRAŻAĆ SIĘ POPRZEZ
BARDZIEJ ZROZUMIAŁĄ
SZTUKĘ?

REDAKCJA:

(też w porządku)

Bożena Chrostowska - poezja

Marta Flakowicz-Szczyrba - korekta

Karol Fryta - proza

Dariusz Górkiewicz - publicystyka

Marta Parafińczuk - publicystyka

Monika Stępień - oprawa graficzna

Olga Żmijewska - redaktorka naczelna

Szymon Żyliński - multimedia

Zapraszamy do nadsyłania swoich prac i pomysłów na adres redakcji:

papierowka@mok.olsztyn.pl

<https://www.facebook.com/papierowkazine/>

Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian i skrótów w nadesłanych materiałach.